

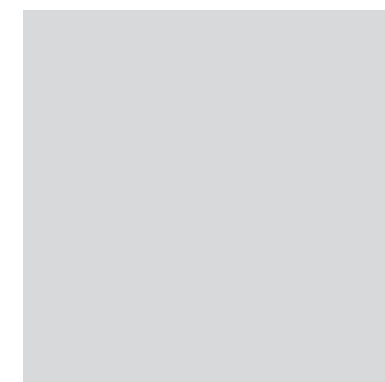
okładka
Jan Pieniżek
Ewa Rejzler

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Zastrzegamy sobie prawo do robienia skrótów i redagowania nadesłanych tekstów. Nadesłanie materiałów do publikacji jest równoznaczne z oświadczeniem o posiadaniu praw do nich.

**dziękujemy artystom, współpracownikom,
lokalnym partnerom i życzliwym ludziom:**

Dorota Bąkowska, Jacek Bąkowski, Dominika Bienias, Paulina Braun, Łukasz Brządkowski, Michał Buczek, Ewa Ceglewska, Kamila Chomicz, Andrzej Dębiec, Tomasz Duda, Kuba Dykiert, Bogdan Dziworski, Massimo Federico, Marcin Figurski, Marta Filipiak, Agata Fokt-Bardzel, Wally Gilbert, Wanda Gołębiewska, Norbert Górka, Marek Grala, Wojtek Jachna, Krzysztof Jagusz, Radosław Łabarewski, Mirosław Kaczyński, Bartek Kapsa, Miro Kępiński, Janusz Kobyliński, Kolektyw Rakiet Fybaka, Łukasz Krajewski, Izabela Kujawska, Sebastian Kujawski, Stefan Kornacki i Ser Charles, Joanna Krzysztoń, Maciej Kwietnicki, Filip Laskowski, Wojciech Lewandowski, Katarzyna Lorkowska, Zbigniew Lorkowski, Artur Maćkowiak, Lidka Makowska, Danuta Milewska, Pasożyt, Kamil Pater, Elżbieta Pawelec, Ewa Pawlata, Małgorzata Pękalla, Jan Pieniżek, Pion, Ryszard Piotrowski, Grzegorz Pleszyński, Paweł Prochnowski, Tadeusz Prokop, Halina Rączka, Stanisław Rączka, Ewa Rejzler, Marek Rogulski, Adam Ruszkowski, Zbigniew Rutkowski, Milena Rytelewska, Sebastian Siekielewski, Mariusz Sierackiewicz, Kamila Siódmak, Monika Skórzewska, Marek Śliwa, Wiesław Ślizewski, Jakub Słomkowski, Marian Stępak, Jarosław Struczyński, Tadeusz Sudnik, Kamil Szuszkiewicz, Andrzej Tomczyk, Maciej Trifonidis, Piotr Weychert, Magda Węgrzyn, Małgorzata Winter, Tomek Włazlak, Małgorzata Woronowicz, Maciej Woźniak, Agnieszka Wójcicka, Magda Zakrzewska-Duda, Hubert Zemler, Marta Żakowska i inni

Żegluga Wiślana, Gmina Zakroczym, Płocki Ośrodek Kultury i Sztuki, Miejski Zespół Ośrodków Sportowych w Płocku, Urząd Gminy Nowy Duninów, www.mlodywloclawek.pl, Stowarzyszenie Obywateli Projekt Włocławek, Fundacja Europejskie Centrum Wspierania Inicjatyw Społecznych, Urząd Miasta Włocławek, Kujawsko-Pomorski Urząd Marszałkowski, Stowarzyszenie Wzajemnej pomocy FLANDRIA, Galeria nad Wisłą – Toruń, CSW Toruń, Instytut B61 Toruń, MÓZG – Bydgoszcz, Fundacja Nowa Sztuka Wet Music, Fundacja Bez nazwy, Dawny Tczew.





Urodziłem się w Warszawie. Powstałem z pomieszania: liter, pojęć i osób. Nie Odyseusz, nie Ulisses – Sesilus. Nie wiem ile mam lat, nie jestem pewien, jaką mam pleć, jeśli w ogóle. Szukam więc, czytam, obserwuję. Wkrótce wyruszę w rejs. Niezwykły. Na razie jestem tabula rasa.

W roku 2011 powołaliśmy do życia nowego fikcyjnego bohatera SESILUSA (anagram imienia Ulisses). Wraz z nim odbyliśmy w 2011 i 2012 rejsy po Wiśle na odcinku Warszawa-Bydgoszcz, a rok później Bydgoszcz-Gdańsk, odwiedzając kilkadziesiąt nadrzecznych miast i miasteczek i poszukując cech, jakie powinny go charakteryzować.

SESILUS miał charakter w dużym stopniu EKSPERYMENTALNY, a wręcz można rzec – pionierski. Wisła nie jest praktycznie przystosowana do żeglugi, brakuje wodniackiej infrastruktury, czytelnych przepisów, a w wielu miejscowościach tereny nadrzeczne są zostawione same sobie, „wykluczone”, zaśmiecone i użytkowane sporadycznie, głównie przez wędkarzy i waleśającą się bez celu młodzież.

Rejs stał się jednak prawdziwą SKARBNICĄ LOKALNEGO POTENCJAŁU I KREATYWNOŚCI. W każdej z odwiedzonych miejscowości trafiliśmy na twórczych, wspaniałych ludzi, interesujące zabytki i tradycje, ciekawe opowieści, osoby związane z rzeką, zaskakujące widoki czy unikalne środowisko przyrodnicze. Byliśmy życzliwie przyjmowani, a proponowane przez nas działania artystyczne i edukacyjne okazały się potrzebne, skuteczne i pobudzały lokalną dyskusję. Nasz projekt to laboratorium społeczno-artystyczne, w którego centrum zainteresowań znajduje się eksperyment, odkrywanie, kreatywność, a także twórcza współpraca.

Oprócz rodzaju „dziennika pokładowego” zamieszczamy tu kilka obszernych rozmów z osobami, które spotkaliśmy na naszej drodze, lub które realizowały projekt razem z nami – o tym, jak postrzegają animacyjną rolę kultury, sztukę społeczną, jakie napotykają trudności i jaka czeka nagroda. Kontakt i twórcza współpraca z innymi artystami i animatorami, podobnymi nam, to z całą pewnością, obok waloru społeczno-edukacyjnego, naczelną wartość tego eksperymentalnego projektu. Mamy nadzieję, że ich opowieści i refleksje będą inspiracją dla tych, którzy intuicyjnie chcieliby pójść podobną ścieżką, ale brakuje im jeszcze jakiegoś impulsu czy ostatecznej wizji.

Klara Kopcińska & Józef Żuk Piwkowski

dofinansowano ze środków **Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego**

tlumaczenia/translations kk

teskty i zdjęcia/
texts & photos:

Klara Kopcińska
Józef Żuk Piwkowski

Jan Pieniążek
Ewa Rejzler



tytuł roboczy
working title

2012 039/040
ISSN 1733 4691
nakład 30 egz./copies

redakcja i projekt/editors & designers
Klara Kopcińska & Józef Żuk Piwkowski



wydawca/publisher
Stowarzyszenie
Edukacji i Postępu
STEP/STEP Association
for Education and
Progress
Radziłowska 5, m. 1

03-943 Warszawa
tel. (022) 617 68 06 i 601 39 02 05
e-mail 2b@2b.art.pl



Galeria 2b/2b Gallery
www.2b.art.pl
2bartpl.blogspot.com
facebook.com/2bartpl

współpraca
redakcyjna/assistant editor
Izabela Kujawska

druk i oprawa/print & binding
Roband

© Klara Kopcińska, Józef Żuk Piwkowski
& autorzy/authors



	SESILUS
chętnie pomogę rozmowa z Pasożytem	5
po co to się robi rozmowa z Małgorzatą Winter	59
polifonia w Lubostroniu rozmowa z Grzegorzem Pleszyńskim	75
fenomen Gniewu rozmowa z Jarosławem Struczyńskim	89
robić swoje rozmowa ze Zbigniewem Rutkowskim	111
stare i Nowe rozmowa ze Zbigniewem i Katarzyną Lorkowskimi	121
odkrywanie Kociwia rozmowa z Agatą Fokt-Bardzel	129
most i smak młodości rozmowa z Łukaszem Brządkowskim	135
wszystkie drogi prowadzą do rzeki rozmowa z Kamilą Chomicz	139
kosmiczne pływy rozmowa z Markiem Rogulskim (Rogulusem)	147
English abstracts	155



2011

WARSZAWA

Wyruszyłem w podróż. W Warszawie żegnały mnie dwie Penelopy...

Wesoło patrzył na płynącą rzekę, nigdy jeszcze żadna woda nie podobała mu się tak bardzo jak ta, nigdy odgłosy i obraz płynącej wody nie wydawały mu się tak wyraziste i piękne. Odnosił wrażenie, że rzeka ma mu do powiedzenia coś szczególnego, coś, czego jeszcze nie wiedział, co go dopiero czekało.

Hermann Hesse, „Siddhartha”





NOWY DWÓR MAZOWIECKI I MODLIN

Szalone pnącze – kolczurka klapowana, wyjątkowo inwazyjna roślina, której nie wolno już w Polsce hodować bez pozwolenia Generalnego Dyrektora Ochrony Środowiska, atakuje nabrzeżne krzewy.

Na wprost spektakularnej z wody Twierdzy Modlin, w miejscu, gdzie błękitna Narew wpada do płowej Wisły, pojawiają się ruiny schodzącego do samej rzeki spichlerza zbożowego z 1844 roku. Ów, jak pisały ówczesne gazety „gmach najokazalszy, jaki w drugim ćwierćwieczu wzniesiono w Królestwie” okazał się niezbyt rentowny i do wybuchu II wojny światowej służył jako magazyn garnizonowy. Dziś gra niekiedy w filmach, między innymi to on był zamkiem Horeszków w „Panu Tadeuszu” Wajdy. Opuszczony i omszały wygląda jak budowla z baśni, zamieszkała przez ptaki, owady i zwierzęta. Podziwiamy jego odbicie w rzece, w tym wyjątkowo pięknym dniu, wśród srebrzystych błysków słońca na wodzie.

W nieco gorszych okolicznościach przyrody Sebastian Siekielewski i Dominika Bienias grają na nowodworskim bulwarze i atakują przechodniów. Dochodzi do ciekawej interakcji, rozmów, a nieco opustoszałe miejsce po raz pierwszy chyba zyskuje nowy wymiar.





ZAKROCZYM

Okolo 40 km na północny zachód od Warszawy, za Nowym Dworem Mazowieckim znajdziesz „krajną wąwozów” oraz małe, dość niepozorne miasteczko, liczące ok 3000 mieszkańców. Położone jest na wysokiej skarpie wiślanej, z której rozpościera się piękny widok na płynącą w dole rzekę i piaszczyste łachy, otoczone zielenią bujnych łągów. Ptaki: brodzie, biegusy i kuliki. Spotykamy kilku panów z urzędu gminy, miłośników, którzy z dumą opowiadają ożego bogatej, burzliwej historii: o wojnach szwedzkich, zaborze pruskim, przeprawie wojsk napoleońskich przed bitwą pod Pułtuskim, o posiedzeniach Sejmu i Rządu z Joachimem Lelewelem, o budowach fortów Twierdzy Modlin. I wiele wiele więcej.

Obserwujemy mieszkańców, jeszcze nieświadomych naszej obecności, pragniemy poznać ich bliżej. Trochę się skradamy, podglądamy. Jest kilka sklepów, apteka, poczta, pizzeria... Są też zabytki, historia, potencjał. No i oczywiście rzeka. Potrzeba tu jednak jakiegoś impulsu, poruszenia, iskry...

Przyjeżdża Paulina Braun ze swoim pomysłem video-sztafety. Zasady są proste: mieszkaniacy Zakroczymia poprzez obiektyw kamery, którą operuje, przedstawia swój subiektywny wycinek rzeczywistości, po czym odwiedza kolejną osobę i przekazuje jej kamerę. W ten sposób tworzy się dynamiczna mini-opowieść Zakroczymian o nich samych. Powstaje również nowa sieć powiązań lokalnych, wymiany uprzejmości, pomocy, zaciekawienia, sieć, która właściwie mogła istnieć wcześniej. Tyle, że nie była odkryta.

Prócz tego, druga kamera filmuje całą akcję jakby obiektywnie, z zewnątrz. Powstają więc dwa obrazy, które wyświetlone równolegle, obok siebie, na ścianie budynku przy Rondzie Rodziny Zakroczymskiej, centralnym punkcie miasta, stają się spoiwem łączącym i skupiającym społeczność. Nie wierzyliśmy do końca, że przyjdą na projekcję o 10:00 wieczorem, tymczasem jest ich dobrze ponad setka. Piątkowy wieczór, blask latarni, małe rondo w małej miejscowości...

Uczestnicy: Karolina Paradzińska, Sylwia Kaźmierczak, Renalda Bylińska, rodzina Kurzełów w składzie: Iwona, Ania, Asia, Oliwia, Arek, Mateusz, Maciej Kostrzewa, Anna i Leon Krejckant.









CZERWIŃSK

Jedno z tych miejsc, do których chce się wracać. Budujące wrażenie przejścia w inną czasoprzestrzeń, kierującą się swoimi prawami, odciętą od reszty świata i błogo spokojną. Zobacysz tutaj urzekającą tradycyjną, małomiasteczkową zabudowę. Kolorowe domy rozsiane po okolicy, stary młyn, Wisła z dziką wyspą pośrodku, truskawkowo-malinowe pola – idealne otoczenie do tego, by wsiąść na rower i odkrywać...

W Czerwińsku znajduje się (pominąć nie wolno) Kościół Zwiastowania Najświętszej Marii Panny wraz z Klasztorem Kanoników Regularnych z XII wieku, pierwotnie wybudowany w stylu romańskim, dziś zawiera także elementy gotyckie i barokowe. W środku wiele do obejrzenia, min. uważany za cudowny, obraz Matki Boskiej Czerwińskiej, portal romański w kruchcie czy freski z XIII wieku.

I kolejne miejsce przeprawy wojsk. W lipcu 1410, pod Czerwińskiem, przez trzy doby wojska Władysława Jagiełły dzielnie pokonywały Wisłę, aby potem połączyć się z armią litewską i ruszyć na Zakon Krzyżacki.

Naszym wspnianiałym gościnnym gospodarzem jest Ryszard Piotrowski, artysta, który z premedytacją wrósł w to miejsce, wraz ze swoimi rzeźbami wyzierającymi z bujnej zieleni niewysokiej skarpy.

Cieszy nas nadwiślańskie boisko do siatkówki ze specjalnym plenerowo-fotelowym miejscem dla arbitra...

A o zachodzie wypływa na wody rzeki, w drewnianej łódce Marcina Figurskiego, Miro Kępiński ze swoim sitarowym cudo koncertem. Przyjemność posłuchania go w takim otoczeniu należy do kategorii wrażeń ekskluzywnych...

* * *

15 sierpnia – to chyba jedno z ważniejszych wydarzeń w kalendarzu kulturalnym mieszkańców Czerwińska i okolic. Matki Boskiej Zielnej. Msza o 11:30 odbyta ze wszelkimi możliwymi ceremoniałami, lokalne władze, orkiestra, bukiety w dłoniach... a tuż obok ul. Klasztornej i kolorowe stragany, balony, wata cukrowa, plastikowe zegarki, karabiny, loterie, mydło i powidło. To jest święto. Odpust!

Kuba Twice Improvise, warszawski desant atakuje przechodniów mandoliną, bańkami mydlanymi oraz (oczywiście) improwizowanym utworem o czerwińskiej karuzeli. Mieszkańcy opowiadają nam o swoich problemach, o tym, co chcieliby zmienić, o Wiśle. Szafa gra.









WYSZOGRÓD

Do momentu rozebrania w 1999 roku stał tu najdłuższy drewniany most w Europie (1300 metrów, 60 przęseł). Został wybudowany przez niemieckich saperów do przeprawy wojsk przez rzekę. Powstał w miejscu płytkim, z drewna dostarczanego z Puszczy Kampinoskiej. Z założenia miał być mostem „jednorazowym”. Sądzone, że wiosenne roztopy i napierające kry zniszczą konstrukcję. Okazała się, jednak zaskakująco stabilna i przetrwała lata. Pozostawione na pamiątkę jedno przęsło przy prawym brzegu Wisły, z całym anturazem, wygląda teraz trochę jak niedokończona opowieść...

Kuba Twice Improvise grają w nieistniejących drzwiach... na resztkach starego mostu... amfiteatru...

Dołącza Pan Andrzej ze śródziemnomorskim repertuarem... Smutna opowieść o nieistnieniu: życiowy rozbitek na kiedyś żywej scenie, otoczonej resztkami niegdyś zatłoczonych ławek śpiewa pełne tajemniczego uroku teksty w nieznanym języku.

Wyszogród nie znalazł chyba jeszcze swojego języka, sposobu na siebie... Duet Kuba Twice szaleje z różnymi grupami wiekowymi na skwerze, udaje się zadzierzgnąć jakąś więź. Trzeba będzie tu jeszcze powrócić.













PŁOCK

Na styku Pojezierza Dobrzyńskiego i Kotliny Płockiej. Na obecnym Wzgórzu Tumskim, we wczesnym średniowieczu, znajdował się ośrodek kultu pogańskiego i warowny gród książęcy. Później rezydowali tutaj Władysław Herman i Bolesław Krzywousty, a Płock w latach 1079-1138 był stolicą Polski (jakby ktoś nie wiedział).

Średniowiecze i późniejsze epoki, pomimo licznych najazdów i pożarów, pozostawiły po sobie zabytki, które są ważnym elementem kulturowej tożsamości miasta: najstarszą w Polsce szkołę, obecnie LO im. S. Małachowskiego, bazylikę katedralną Wniebowzięcia Maryi Panny, dawne opactwo benedyktyńskie na Wzgórzu Tumskim, Kościół farny św. Bartłomieja, Stary Rynek i wiele więcej.

Powołano tu Towarzystwo Naukowe Płockie, pierwszą tego typu placówkę w Polsce. I wreszcie – tutaj urodził się Władysław Broniewski, niedoceniony poeta oraz Stefan Themerson – wszechstronny, artysta awangardowy, twórca poezji semantycznej, prozaik, eseista, filozof, filmowiec i zapewne jeszcze ktoś więcej. Ze swoją żoną Franciszką tworzyli oryginalną parę, uzupełniającą się i inspirującą w swoich pasjach.

Dziś miasto wciąż przyciąga. Wisła z plażą piękna, rynek-wypoczynek, leniwie poruszające się w słońcu postaci... Przechadzając się dalej płockimi uliczkami, mijając stare kamienice, zaglądając w bramy, odkryć można podwórka, nie do końca zwyczajne.

Wystawa fotografii: Bogdan Dziworski

Muzyka: Studio Dźwięków Niemożliwych (Tadeusz Sudnik, Paweł Prochnowski, Tomasz Duda)

Poezja: Wanda Gołębiewska, Milena Rytelewska, Maciej Woźniak









MURZYNOWO

20 km na zachód od Płocka można trafić na wioskę pełna skarbów – Murzynowo. Znajduje się tam Mazowiecki Ośrodek Geograficzny i Muzeum Geografii Historyczno-Kulturowej im. Stanisława Murzynowskiego. Pan ów, stypendysta księcia Albrechta Hohenzollerna, był autorem pierwszego przekładu Nowego Testamentu na język polski oraz napisał prekursorską pracę „Ortografija polska”, której zasady stały się wzorem dla XVI-wiecznej polszczyzny.

Inicjatorem powstania muzeum był prof. Jacek Olędzki, antropolog, etnograf zajmujący się głównie badaniem kultury ludowej. Nazwany „badaczem osobnym” – człowiek, który sposobem działania i osobowością wyprzedzał swoje czasy. Interesowały go wątki estetyki ludowej, religijności, mirakularności (czyli cudów).

Olędzki szczególną uwagę poświęcał Ziemi Chełmińsko-Dobrzyńskiej i mieszkańcom kurpiowskiej Puszczy Zielonej. W jego opisach kultur ogromną rolę odgrywała dokumentacja wizualna. Pozostawił filmy i fotografie przedstawiające zanikającą dzisiaj kulturę ludową na polskiej wsi, życie w zgodzie z przyrodą i religijność naturalną. „Twórczość Jacka Olędzkiego – pisze Ryszard Ciarka – stanowi przykład realizacji pełnej, choćby przez to, że był antropologiem piszącym i filmowcem, klasycznym badaczem terenowym i fotografikiem. A także i z tego względu, że filmy, jakie po nim pozostały, zawsze były formą wypowiedzi totalnej i świadomej w każdym etapie powstawania; od zamysłu, realizacji zdjęć po montaż, opracowanie komentarzy i podkład dźwiękowy. Tak na przestrzeni około trzydziestu lat powstało kilkanaście filmów, tworząc nie tylko ciekawy zbiór wypowiedzi i nie mniej ciekawy portret ich twórcy, ale – niestety – także przy okazji obraz niedostatków, ciągłego zmagania się z niezbyt zaawansowanym technicznie sprzętem i brakiem zrozumienia tego, jak ważnym elementem jest wizualizacja w etnograficznych badaniach terenowych, jaką rolę może pełnić fotografia i film w procesie poznawczym i edukacyjnym”.

Jego zbiory znajdują się właśnie w Murzynowie w drewnianej chatce. Mimo dwóch burz, które próbowały pokrzyżować nam plany, udało się dostać do środka. Miejsce zaiste cudów pełne...







NOWY DUNINÓW

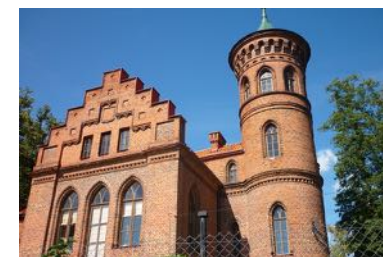
Nowy Duninów leży nad Jeziorem Włocławskim, sztucznym zalewem powstałym na Wiśle w roku 1970 ze spiętrzenia wody na zaporze we Włocławku. Mieszkańcy urodzeni przed tą datą wspominają krowie wyspy na środku rzeki, wysoką skarpe i problemy związane z pierwszymi latami funkcjonowania zapory. Zalew dziennie emituje ok. 400 mg metanu w przeliczeniu na powierzchnię 1 m² i uważany jest za istotne źródło gazów cieplarnianych.

W Nowym Duninowie znajdujemy się w dniu „Pożegnania lata”. Impreza w stylu między pop a disco polo trwała późno w noc. Ale nim rozległa się niosąca się aż na drugi brzeg muzyka, udało się zrobić parę ciekawych rzeczy z mieszkańcami tej niewielkiej miejscowości.

Na bulwarze Jacek Bąkowski realizował swoją kolejną akcję z cyklu „Zaczekaj, mam dla Ciebie wiersz” – polega ona na atakowaniu niczego nie spodziewającego się przechodnia poezją. Oto komentarz odautorski: „Wybrany przeze mnie uprzednio zestaw wierszy jest wystarczająco uniwersalny, by pokusić się o dopasowanie któregoś z nich do osoby, która zechce zatrzymać się przy mnie. Poza głośnym przeczytaniem wiersza adresatowi, oczekuję wynikłej z tego rozmowy. W ten sposób możliwa będzie nie tylko promocja poezji, ale też nawiązywanie relacji interpersonalnych. Niebanalność tematu głównego, jakim jest poezja, pozwala oczekiwać również niestereotypowych komentarzy.”

Dalej... Trzy zabytkowe pałacyki, pomiędzy którymi przedzieram się przez dzikie krzewy i park. Ciepły, słoneczny dzień. Spotykam Pana Andrzeja Sumlińskiego, który podczas warsztatów fotograficznych z Janem Pieniżkiem i Żukiem Piwkowskim barwnie opowiada uczestnikom o historii i teraźniejszości tego miejsca, o jego mieszkańcach i ich osobistych historiach.

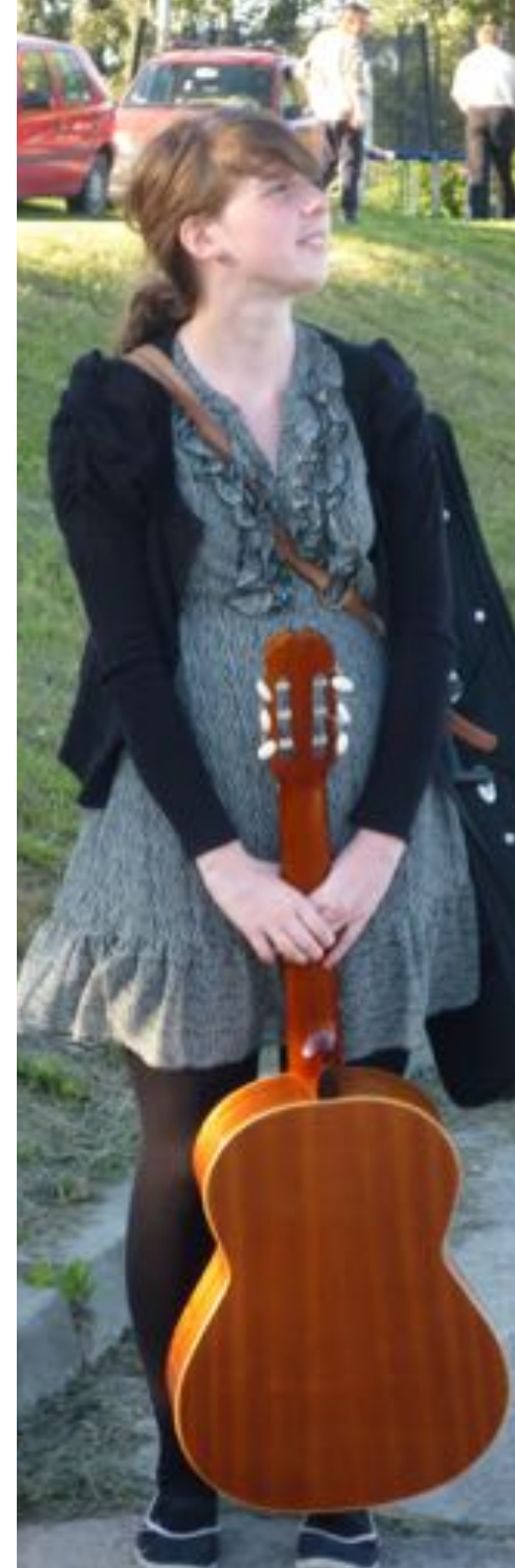
Pod starym dębem stoi dziewczyna. W dłoniach trzyma otwarty album, gdzie na jednej z kart znajduje się czarno-białe zdjęcie przedstawiające grupę ludzi. Na fotografii są nauczyciele lokalnej szkoły, dzieci, a wśród nich – matka dziewczyny, kilkadziesiąt lat temu. Jest też młode, świeżo zasadzone drzewo – to ten sam dąb, w którego cieniu teraz stoimy...





Wieczorem obserwuję kolejne zdarzenie – zderzenie. Dwóch światów. Dosłownie. Podczas pożegnania lata, gdzie wielką popularnością cieszy się piwo, smażona kielbaska, ogórek kwaszony i smalec, gdzie mieszkańcy bawią się i kręcą piruety przy akompaniamencie muzyki disco-polo, na scenie pojawia się uśmiechnięta istota, płci żeńskiej, a postury raczej drobnej – Gosia Penkalla. Siada na krześle, obok niej skrzypce i gitara. Publiczność, w lekkiej konsternacji, przycicha. Tego chyba się nie spodziewali. Gosia czaruje delikatnym głosem i folkem. Wygląda to tak, jakby swoją postacią przenosiła kawałek jakiejś zupełnie innej, nikomu tu nieznanej rzeczywistości i dzieliła się nią ze wszystkimi, zszokowanymi mieszkańcami. Kontrast pomiędzy dwoma światami staje się coraz mniej wyraźny, jednak wciąż intryguje. Aż uśmiechniętą dziewczę kłania się i schodzi ze sceny żegnane oklaskami. Chwilę potem znów pojawia się zespół disco-polo i kontynuuje swoje występy. Sytuacja surrealistycznie satysfakcjonująca...

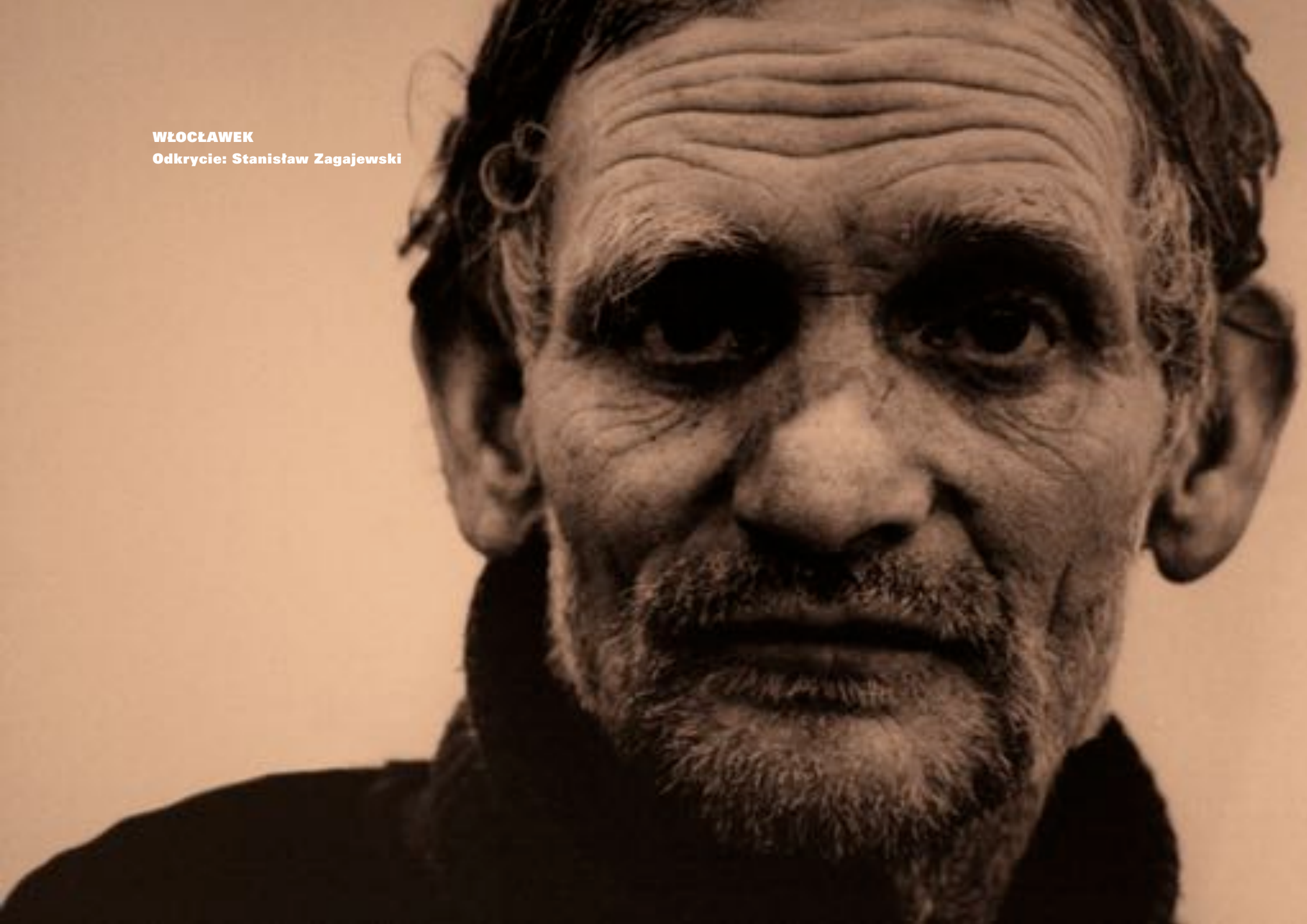
Później już tylko tańce i imprezowanie całej gminy do białego rana!





WŁOCŁAWEK

Odkrycie: Stanisław Zagajewski













WŁOCŁAWEK

Miasto trochę zapomniane, trochę na uboczu, po tzw. przejściach, z których jeszcze nie do końca się podniosło... Kierując się z placu Wolności ulicą 3 Maja w dół, w stronę starówki, bulwaru, mijam sklepy, second handy, jest pizzeria, cukiernia... Im bardziej zbliżam się w stronę Wisły, tym mniej widzę handlu, mniej ludzi, w powietrzu wisi dziwna atmosfera – opuszczenia, jak w niepokojącym śnie... Z każdym kolejnym krokiem budynki stają się coraz bardziej zniszczone, obdrapane, drzwi, witryny pozabijane deskami. O ich dawnym życiu, o dawnym życiu tego miejsca, świadczą już tylko stare szyldy z niemodną grafiką. Zaglądam w bramy, te podwórka nasuwają skojarzenia z warszawską Pragą, jedno dość wyjątkowe z zaczarowanym domkiem obrośniętym bluszczem...

Starówka, zaledwie kilka metrów od rzeki, nieoswojona. Bezrobocie ogromne. Przykro. Do akcji ponownie wkracza nieustraszona grupa Kuba Twice Improvise. Chłopaki bez zbędnych ceregieli atakują przestrzeń długimi, czerwonymi tkaninami (wbrew pewnym opiniom kolor ten nie został użyty w celach politycznych), rozkładają je w centrum miasta, biegają, grają, intrygują, wspólnie z mieszkańcami tworzą tekst piosenki o Włocławku.

Jest ruch i znowu – lekka konsternacja i drapanie się po głowach, ale to lubimy. Grupka dzieci bawiących się na ulicy szybko pojmuję, co w takim momencie należy wykonać. Zaraz podłącza się do ekipy, przejmuje instrumenty i wszyscy dziarsko maszerują nad rzekę...

Tam, na bulwarze jest już Jacek Bąkowski ze swoim regałem pełnym poezji. „Poczekaj, mam dla Ciebie wiersz”. Wystarczy zatrzymać się na chwilę, usiąść, posłuchać, wymienić myśli...

A o zachodzie słońca niosą się nad Wisłą hipnotyzujące dźwięki gitary Mira Kępińskiego...









REMIKS POŁUDNIA, sierpień 2011

**PUNKT WYMIAN NIEPOTRZEBNYCH JUŻ PAŃSTWU
W DOMACH RZECZY** – prosimy o wkładanie do środka
przedmiotów (książek, ubrań, naczyń i innych), których
nie potrzebują już Państwo w domu.
Przedmioty brać sobie może każdy, komu się przydadzą.

Punkt stworzony został w ramach projektu REMIKS POŁUDNIA,
podczas warsztatów z mieszkańcami osiedla i jest dobrem publicznym.
Wdzięczni będziemy za dbanie o porządek wewnątrz obiektu.

Serdeczności,

Sesilus, Marta i Remiks



W innym miejscu, w głąb wrocławskich blokowisk wchodzi Marta Żakowska, związana z Instytutem Badań Przestrzeni Publicznej warszawskiej ASP, studentka ostatniego roku w Instytucie Kultury Polskiej UW. Swoją akcją Remix animuje przestrzeń osiedlową przy ul. Skarżyskiego 2 oraz tutejsze dzieciaki, z którymi najpierw odmalowała na żółto starą szafkę, by później przeznaczyć ją na miejsce wymiany przedmiotów. Odnowiony mebel szybko zapełnia się kolorowymi zabawkami. Dzieci podczas warsztatów chętnie otwierają się na nowe pomysły. Cieszą się, że mogą coś dać i mogą też dostać – zupełnie za darmo.

Chociażby miłe słowo czy uśmiech. I trochę poświęconej uwagi...





TORUŃ

W Toruniu przywitał mnie Pasożyt... Pasożyt wbrew pozorom jest człowiekiem, artystą, który obmyślił chytry plan wykorzystywania instytucji kultury, galerii i tym podobnych placówek jako swojego żywiciela. Żywiciel zapewnia Pasożytowi schronienie, tak potrzebne młodemu artyście, który nie jest w stanie utrzymać się ze sztuki. Na swoim blogu przybliży całą kuriozalną ideę i formy jej realizacji.

Teraz mieszka w Galerii nad Wisłą, u innego artysty – Mariana Stępaka. Dzięki ich uprzejmości mogłem zatrzymać się tam na kilka dni. Miejsce jest piękne...

Nad Wisłą odbyły się warsztaty dla dzieci *Naturoanimacja*, poprowadzone przez wyżej wymienionych. Krzaki, gałęzie, śmieci i inne obiekty zastane w naturze podsumowane filmem poklatkowym.

Później przenosimy się do CSW „Znaki czasu” na akcję *Kamperzy z desantem*. Zaatakowane puste przestrzenie galerijne na dwie godziny zapełniają się przeróżnymi postaciami, które zamieniają miejsce w bieżnię, plac zabaw, plażę, teren budowy i wiele więcej, zależnie od wyobraźni uczestnika i historii, którą ma do opowiedzenia... lub nie. Postacie wchodzi także w interakcje. Dużo spontaniczności. Przechadzam się pomiędzy nimi. Wygląda to jak lekkie szaleństwo, pozytywne przełamywanie „sterylności” galerii.

Udział wzięli:

Ze strony toruńskiej: Adam Ruszkowski, Ewa Pawlata, Filip Laskowski, Krzysztof Jagusz, Maciej Kwietnicki, Magda Węgrzyn, Marian Stępak, Norbert Górka, Pasożyt, Stefan Kornacki, Tomek Właźlak i inni.

Ze strony warszawskiej: kolektyw Rakiet Fiba, czyli sześciu działaczy: Kuba Kasznia, Kuba Dykiert, Oskar Karaś, Marek Kucharski, Aleksander Pawlik i Kuba Słomkowski















Ja

Jakie były Twoje zamierzenia związane z projektem „Chętnie pomogę” i pływaniem z Sasilusem i co z tego wyszło?

Mam najczęściej konkretne zamierzenia, ale i tak wychodzi to na swój sposób; robi się takie, można powiedzieć, badanie. Tutaj chodziło mi o prześledzenie komunikacji między twórcą a odbiorcą. W normalnym schematycznym ujęciu artysta tworzy pewien przekaz i później społeczeństwo ma korzystać z tej wartości, którą artysta wysyła. A ja z projektem „Chętnie pomogę” chciałem się otworzyć bezpośrednio na potrzeby społeczeństwa. Jak przyplýwaliśmy gdzieś, wylatywałem na łód, nikogo tam nie znałem i dawałem ulotkę z rozpisanyimi moimi umiejętnościami, kim jestem i jakie mam założenia.

Ale spodziewałeś się, że będziesz, że tak powiem, w zawodzie pracował, a nie na przykład sprzątał?

Byłem nastawiony na wszystko... przecież mogłem przewalać gnój, jak i namalować obraz, albo pomalować ścianę w szkole, tak jak to się stało w szkole w Bratwinie w gminie Dragacz, gdzie się okazało, że funkcjonuje jeszcze – albo próbuje się ją wskrzeszać – tradycja kociewska. Okazało się, że mogę szkołę pomalować we wzory kociewskie. Ja bym sam jako artysta nie wpadł na ten pomysł.

Przeróżna była ta pomoc, dla mnie modelowym przykładem było Nowe, chociaż medialnie się nie rozegrała ta sytuacja, jakoś wielce się nie rozbudowała, ale też nastawiałem się głównie na te mało efektowne zdarzenia, które się pomiędzy ludźmi wydarzają. Tam poznałem państwa, zapukałem do ich gospodarstwa. Na początku było to takie „a w czym pan może mi pomóc?” i nagle patrzę – sterta drewna jest: „mogę narąbać, a proszę przeczytać moją ulotkę, może Państwo wpadną na jakiś pomysł”. Narąbałem drewna przez trzy godziny na rozpałkę, na zimę, później przychodzi do mnie to małżeństwo i mówią: „my nie wiedzieliśmy, że pan naprawdę jest artystą, że pan naprawdę studiował malarstwo... bo my zawsze chcieliśmy mieć obraz ze swoim domem na tle panoramy Nowego”. I ja to zaraz podchwyciłem, chociaż oni uważali, że jak nie będzie czasu, no to nic się nie stanie, ale jako że ja chciałem na różnych polach działać, to potraktowałem to jako wyzwanie. Chociaż nie było sklepu artystycznego, poszedłem kupić od razu płótno w sklepie „wszystko za 4 złote”; teraz są takie płótna na przykład ze zdjęciem Marylin Monroe, przemalowałem ten obraz, zagruntowałem go ponownie i namalowałem, trochę szkicowo... ale państwo się cieszyli, strasznie im się spodobał, pani oddała mi za materiały i nawet chciała mi za niego płacić. No i oni mają obraz, mamy kontakt, porąbałem im drewno i bardzo by chcieli, żebym ich odwiedził. Przy tej akcji uaktywniły się dzieciaki, z którymi zacząłem malować, przyniosły kartki, ja im dałem farby i malowały... >>

chętnie pomogę

**rozmowa TR z Pasożytem,
artystą z Torunia**





W Chełmnie chciałem pomóc przy remoncie rynku, ale tam mogą tylko pomagać pracownicy, którzy są zatrudnieni, przeszli kurs BHP, bo jak traktor cię potrąci, bo wtedy wszyscy mają problemy, więc koniec końców, pomogłem pani jednej nawrzucać węgiel. Poznałem tam Maćka, który prowadzi skate-shop. Pomogłem mu odrobinę w promocji, a później, jako że mam trochę zaszłości z młodzieńczych lat z graffiti, a on też maluje, więc poszliśmy pomalować trochę. Na swój sposób, ktoś przyjezdny poprzez rozmowę, kontakt, wsparcie – może zainspirować takie osoby. On prowadzi skate shop i rozmawialiśmy, że to może zafunkcjonować jako swego rodzaju świetlica dla tych dzieci w Chełmnie, a jest ich całkiem dużo. Miasto inwestuje w Walentynki, w Miasto zakochanych, a może właśnie takie osoby, które docierają do dzieci z ulicy, mogłyby być wartościowsze. Pomogłem Maćkowi roznieść ulotki, próbowałem nakręcić mu wśród dzieciaków z Chełmna taką sytuację, że nie muszą tam kupować podkoszulek po 50-60 złotych, ale właśnie, przyjsć i pogadać, żeby stworzyło się jakieś środowisko, żeby on mógł przekazać im jakieś wartości. Tak jak graffiti wyszło z tego, żeby oznaczać swój teren, ale do tego dochodziła jakaś twórczość... Te wartości nadal w mniejszych miasteczkach mogą być przekazywane i wielu moich znajomych związanych kiedyś z graffiti teraz się realizuje jako twórcy, projektują ciekawe rzeczy albo robią warsztaty z dzieciakami...

A masz wrażenie, że bez Ciebie coś by się nie wydarzyło, albo że coś się wydarzy także po Twoim wyjeździe?

Założmy malowanie ściany – pani Agata chciała, żeby pomalować tę ścianę w Bratwinie, ale nie miała do tego osoby, prędzej czy później ktoś by się znalazł, ale ja byłem tym katalizatorem, który przyszedł z zewnątrz i chciał natychmiast z tym pomóc. Zależało mi na tym, żeby moja pomoc była taka bezpośrednia, konkretna i wymierna i od razu zrobiona tu i teraz, więc postrzegam się jako katalizator albo taka osoba do rozmowy, bo wszędzie każdy potrzebuje wsparcia, żeby przyszła druga osoba i stwierdziła „tak, świetny pomysł, świetne rzeczy robisz”.

Na tym polu sztuki zaangażowanej jest dużo kwestii problematycznych. Każdy twórca z tego obszaru ma wątpliwości, jak sztuka może obecnie funkcjonować i jak powinno wyglądać to działanie. To jest rodzaj badania i z tych badań mogą wyjść następne projekty, które będą może konkretniejszą pomocą, może pójść z czasem w stronę stricte edukacji, bo w tym jest potencjał, żeby dzieciaki próbować wyciągać z tej sytuacji ulicznej... W tych małych miejscowościach nieraz trzeci raz przechodzimy koło tego samego miejsca, a te same dzieciaki nadal siedzą na murku.

Bo jeśli mówimy o Warszawie, to są pewne instytucje, które działają tylko z osobami, które i tak są już otwarte na kulturę, przychodzą na wystawy, próbują się rozwijać się w kulturze, swoje postrzeganie sprawdzić, > >



otworzyć się na nowe kultury, ale tym dzieciakom, które rzeczywiście potrzebowałyby alternatywy, czasami się wcale nie pomaga przez swoje działanie, wcale się do nich nie dociera. Bo nawet, jak robi się wystawę w jakimś miejscu typu park przy CSW, no to przychodzą nie dzieci z blokowisk, tylko rodziny, które i tak chodzą na wystawy, dzieciaki, które i tak są wysyłane na warsztaty i mają możliwości rozwoju.

Czy Ty na przykład się zastanawiasz, gdzie jest ta granica, na ile to jest greps, że ty pomagasz komuś, porąbiesz drewno, a na ile Ci się kluje myśl, że Ty jako artysta rzeczywiście możesz komuś pomóc, w tym sensie, że swoimi umiejętnościami możesz faktycznie kawałek życia czyjegoś zmienić?

Na swój sposób mam problemy ze sztuką, gdzie ona wytwarza to dobro? Tę wartość?

Doszliśmy do takiego pytania fundamentalnego, czy sztuka musi być moralna.

Moralność to słowo, którego wiele osób się teraz boi, bo jak coś jest moralne, to znaczy, że coś jest niemoralne, czyli coś jest w danej sytuacji dobre, a coś jest złe, a jak wiadomo – wszystko jest relatywne...

W myśl duchowości Kandinskiego, duchowości w sztuce, to sztuka jest elitarna, na samym czubku, a my mamy taką potrzebę, żeby zaczęła działać na niższych pułapach i od stu lat to wszystko próbuje schodzić do społeczeństwa. Edukacja artystyczna z tego wszystkiego jest najlepszą rzeczą, bo pokazuje się dzieciakom alternatywy, jak można zmieniać ten świat, można im pokazywać inne wyjścia z ich sytuacji niż tylko jakaś drobna kradzież. One nie mają co robić. Taką dużą wartością w tym jest rozwój, sprawdzanie siebie, samozaparcie, tak samo jak przy sporcie.

Mój wniosek z tej podróży jest bardzo prosty. Jak rozmawiasz z ludźmi, to jedni mówią „w naszej miejscowości jest super”, spotykasz innych i oni mówią „beznadzieja jest ta nasza miejscowość”. Potem, jak im się przyglądasz, to ci pierwsi to są ludzie, którzy coś próbują zrobić, a ci drudzy pewnie wszędzie byliby nieszczęśliwi, bo nikt im nie zaszczepił tego bakcyła. Uważam w ogóle, że wartością tego projektu jest, że tworzy się pewna sieć, taka grupa wsparcia... W życiu nie pojechałbyś do jakiejś wsi pod Grudziądz i nie miałbyś pojęcia, że tam jest fajna dyrektorka szkoły, która ma ciekawy pomysł i jest tam w sumie sama. I jej to pomaga, ale nam to też coś daje, że są ludzie w takich zakątkach i coś możemy wspólnie kiedyś zrobić... >>



Jak wchodziłem, to wiadomo – chciałem pomóc, a jak wyjeżdżałem to jeszcze się okazywało, że ludzie do mnie dzwonią, że jeszcze bym mógł to i to zrobić... ale są osoby, które tam zostają i one rzeczywiście mogą to kontynuować, na przykład w szkole można dalej malować, można kogoś nauczyć robić szablony, bo to nie jest jakaś technologia jak cięcie blach okrętowych, wystarczy obudzić trochę kreatywności.

www.pasozyt.blogspot.com

rozmawiała kk



BYDGOSZCZ

Dopłynąłem do ostatniej miejscowości na mojej wiślanej trasie i wpłynąłem na Brdę – Bydgoszcz. Zatrzymałem się przy Rybim Rynku. W pobliżu spichrze, bulwary Starego Portu, ul. Grodzka i Mostowa. Widać stąd wyspę św. Barbary i Operę. A przy samym moście na linie unosi się rzeźba Jerzego Kędziory „Przechodzący przez rzekę”. Akrobata balansuje na linie, utrzymuje pozycję pionową dzięki temu, że środek masy figury znajduje się pod liną, na której wisi. W jednej ręce trzymający żerdź, w drugiej strzałę, na ramieniu ma rzymskie sandały, identyczne z tymi, które posiada Łuczniczka – posąg w Parku Jana Kochanowskiego, będący jednym z symboli Bydgoszczy. Młody mężczyzna jest jej adoratorem, który przenosi strzałę przez nią wypuszczoną na drugi brzeg rzeki...

Koncertem na wodzie, witali mnie Wojtek Jachna na trąbce i Bartek Kapsa na perkusji...

W Mózgu odbył się wernisaż wystawy Joanny Krzysztoń „Reality show”, który jest jej komentarzem do medialnej rzeczywistości zalewającej nas swoim obrazem współczesnego świata.

Na Wyspie Młyńskiej pojawiła się Dorota Bąkowska-Rubeńczyk. Z plecakiem pełnym grzechocących gadżetów, kolorowych linek, tasemek i kubeczków przeprowadziła rodzinne warsztaty „Muzyczna rzeźba”.

Wieczorem w centrum Bydgoszczy, owinięta w białą tkaninę, niesiona przez bliżej niezidentyfikowane jednostki, pojawiła się... Penelopa. Dostarczono ją do Mózgu, tam czekała na nią... druga, biała Penelopa. Znów się spotkały... Dalej koncert improwizowany w składzie: Trfonidis, Kapsa, Jachna i Pater.

W surowych pomieszczeniach lokalu kamienicy przy Pomorskiej 11, na tle betoniarek, góry piasku i cegieł zawisły fotografie Wally’ego Gilberta z cyklu „Projekt Norblin”.

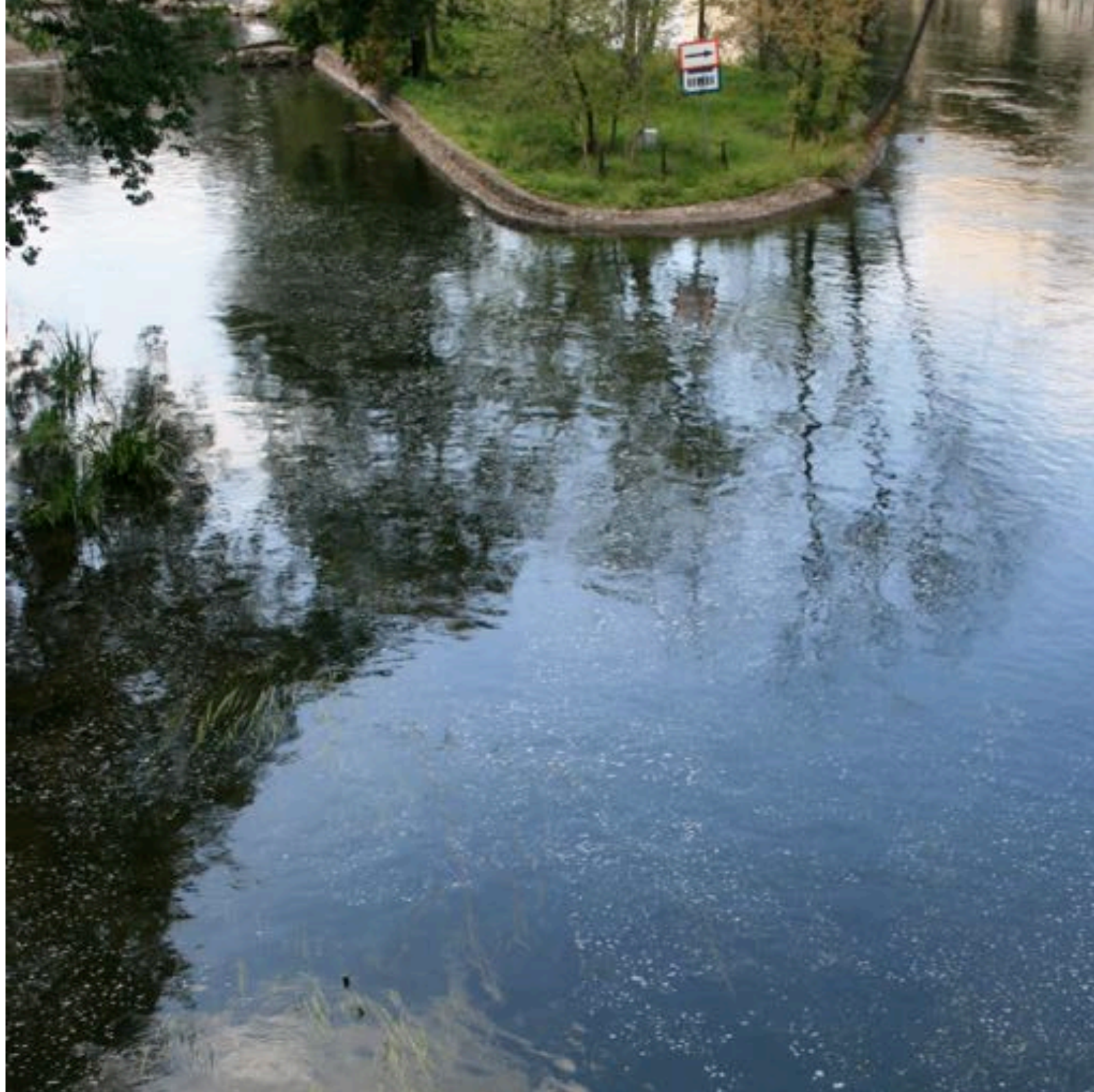
Profesor Walter Gilbert otrzymał w roku 1980 Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii za opracowanie technologii szybkiego sekwencjonowania DNA. Był profesorem na Harvard University na wydziale fizyki, biofizyki, biochemii i biologii, a od 1985 roku także biologii molekularnej i komórkowej. Obecnie jest profesor emeritus Uniwersytetu Carla M. Loeba.

W roku 2006 amerykański artysta – fotograf Wally Gilbert przyjechał do Polski, aby rozpocząć realizację „Projektu Norblin” na terenie warszawskiej d. Fabryki Norblina. Prace Wally’ego Gilberta zrobione w Fabryce Norblina stanowią niezwykłą dokumentację malowniczego obiektu, zagrożonego jednak – ze względu na niedoinwestowanie i niepewną sytuację prawną – zniszczeniem. Charakterystycznym dla artysty zabiegiem są zdjęcia w skali makro przedstawiające drobne fragmenty obiektu, struktury itp. Te niewielkie, prawie abstrakcyjne szczegóły powiększone do rozmiaru kilku metrów pokazują zupełnie nową rzeczywistość – można powiedzieć, że naukowa dociekliwość autora przenosi się także w sferę sztuki.

















Niedawno można było Cię widzieć, jak w ważnej instytucji otwierasz wystawy, a teraz w Lubostroniu w amatorskiej produkcji filmowej wciskasz ludzi w kiecki z folii. Co się zmieniło?

Nic się takiego nie stało, chciałam bardzo wrócić do Bydgoszczy. W momencie, kiedy przestałam być dyrektorem w CSW, nie chciałam zostać w Warszawie dłużej. Ja tam nie miałam swojego miejsca. Postanowiłam wrócić do Bydgoszczy, wcześniej już zaczęłyśmy z Martą Filipiak realizować projekty społeczno-artystyczne. Zawsze mnie zresztą w sztuce to interesowało, ten aspekt społeczny i to, żeby sztuka była użyteczna. Po dwudziestu kilku latach pracy przychodzi taka refleksja, po co to się robi, dla kogo, myślę, że ta refleksja mnie nasza dość wcześnie, po studiach, kiedy zaczęłam pracę w muzeum w Bydgoszczy i nikt tam nie przychodził. To było dla mnie jako młodego człowieka po studiach, dość ciężkich studiach, takie szokujące, że jest duże muzeum i właściwie poza zakładową wycieczką, która się tam zaplatała, to nic się nie działo, wszystko było zakurzone, takie jakieś zmurzałe. Myślę, że całą swoją energię od samego początku włożyłam w to, żeby to było pożyteczne i żeby było dla ludzi. Oczywiście, żeby osiągnąć coś takiego, musiałam pracować z wieloma osobami. Udało nam się osiągnąć status jednego z najważniejszych miejsc w Polsce, takiego miejsca, gdzie z przyjemnością przyjeżdżali ludzie z Polski i ze świata, gdzie działo się dużo różnych rzeczy, ale to też była nie tylko moja zasługa, ale całej grupy moich znajomych i przyjaciół, działań wspólnych z Mózgiem, na jednej ulicy funkcjonowaliśmy, stworzyliśmy też ogródek na Wyspie Młyńskiej, myślę, że dzięki temu zaczęłam patrzeć zupełnie inaczej na rolę muzeum jako miejsca prezentacji sztuki, że to nie może być miejsce zamknięte.

Jestem teraz już ponad rok w Bydgoszczy, rozglądam się, myślę, że Bydgoszcz ma bardzo duży potencjał, ale nie widzę zainteresowania kulturą nie okazjonalną, odbywają się różnego rodzaju festiwale, nie chcę ich oceniać, na pewno dobre festiwale muzyczne i festiwal operowy, i teatr dobrze funkcjonuje, ale kultura tworzy się oddolnie, a tutaj te działania oddolne nie są zauważane przez władze miasta czy przez ludzi, którzy są odpowiedzialni za tego typu sprawy.

To chyba ogólnopolska cecha – festiwalomania...

Ja to porównuję do tego, że jak się buduje duże osiedla, to z góry się ustala trasy chodnikowe i potem się okazuje, że połowa trawników jest wydeptana. Tak jakby nie można było najpierw zasiać trawę, zobaczyć, którędy się ludzie poruszają i dopiero wtedy tam położyć te płytki chodnikowe. Wydaje mi się to dość proste i tak samo można robić z tworzeniem różnych inicjatyw kulturalnych. Zobaczyć, gdzie takie inicjatywy powstają i wówczas je po prostu wspierać. Jeśli my [Fundacja Bez nazwy] stworzyliśmy Starą Piekarnię z totalnej ruiny i przychodzą tam ludzie, > >

po co to się robi

**rozmowa TR
z Małgorzatą Winter**

na planie filmowym „Małej Syrenki”, reż.
Marta Filipiak, prod. Fundacja Bez nazwy

z własnej woli, posprzątali to, kosztowało nas to dużo pracy, spotykają się, działają, chcą tam być, to gdybym była prezydentem miasta, to bym to wspierała. To nie jest miejsce gdzie się ćpa, pije piwo i patrzy w sufit, tylko ludzie działają, są to prawnicy, artyści, ludzie różnej profesji. W Polsce tak to działa, że buduje się domy kultury, różne ośrodki, im się oddaje mnóstwo przestrzeni, a nikt tam nie przychodzi.

Jaką potrzebę zaspokajają u ludzi te działania?

Pewnie u każdego inną. Natomiast myślę, że ludzie potrzebują wyjść z domu, ale nie tylko po zakupy czy do pubu. Nikt nie zwraca na to uwagi, że nasza praca staje się coraz mniej kreatywna, my pracujemy jako przekąsniki informacji, często na dość ograniczonych obrotach, przed komputerami, a ta potrzeba tworzenia w człowieku jest i myślę, że ludzie się garną do takich sytuacji, gdzie mogą coś wspólnie zrobić i mieć wspólny cel. Dlatego ta „Bajkomania”, jak my to nazywamy, ta realizacja filmu, to jest taki sposób na to, że każdy może znaleźć swoje miejsce, każdy jest potrzebny. Jedni robią kostiumy, inni pomagają nosić lampy, inni grają, każdy ma swoje zadanie i te zadania często są wymienne, jeden gotuje, za chwilę ktoś inny gotuje, stworzyliśmy pewien rodzaj wspólnoty i nawet, jak brakuje nam pieniędzy, to wszyscy się zrzucamy. Ja to się śmieję, że kultura zrzuty odrodziła się w Bydgoszczy, tu nie chodzi tylko o pieniądze, ludzie dorzucają swoje umiejętności, swoje kontakty, różnego rodzaju swoje zasoby, do Starej Piekarni nic chyba nie kupiliśmy poza kilkoma puszkami farby, bo akurat nikt nie miał białej.

W tej chwili nas zaangażowanych jest koło setki, na stałe to koło trzydziestki, a w momentach, kiedy przychodzi weekend, grupa się zwiększa dwukrotnie. Bardzo różni jesteśmy, część to są artyści, albo ludzie związani ze sztuką, jest duże zagęszczenie na metr kwadratowy prawników, lekarze, nauczyciele, budowlańcy, prowadzący własne firmy... Panie, które tu były z nami przez kilka dni, to są księgowe, inżynierowie, już na emeryturze. Pani Ela, która gra główną rolę, jest niesamowitą postacią dla nas, ona się włączyła w „Ocieplanie miasta” [poprzednie działanie Fundacji], przyszła taka smutna, szukała jakiegoś miejsca dla siebie, od grudnia spotykamy się kilka razy w tygodniu. Pani Ela była z zawodu sprzątaczką szkolną, tutaj gra główną rolę i jest bardzo szczęśliwa... to jest najważniejsze w tej robocie... oj, bo zaraz się popłaczę... nie wiedziałam, że jestem taka wrażliwa...

Gdy się zebraliśmy i zaczęliśmy coś robić po raz pierwszy, ja wtedy mówię do Marty, że to ma swoją wartość, trzeba to kontynuować, że tyle ludzi potrafi się zmobilizować, żeby spędzić ze sobą kilka dni, po nocach kręcić. Pojawiło się pytanie: jaki film? Odkryliśmy w pewnym momencie to, że zawsze chcieliśmy robić bajki. Odbiorcami mogą być osoby z różnych grup wiekowych. Nasza „Mała Syrenka” też oddaje dwa poziomy bajki Andersena. Jest to również opowieść o zawiedzionych uczuciach, złudzeniach. „Małą Syrenkę” Andersen napisał jako list > >

do swojego „kochanka”, on nigdy jego uczuć nie odrzucał, ale utrzymywał go w tym złudzeniu, tak jak księżę utrzymuje w złudzeniu syrenkę. Zawsze ta bajka wydawała mi się taka okrutna, myślałam, że Andersen nie lubi kobiet, nie dość, że okaleczył bohaterkę, pozbawił głosu, to jeszcze mężczyzna jej nie kochał. Później okazało się, że tą małą syrenką jest on sam, że pisze o sobie, swoim cierpieniu i złudzeniach, którym uległ. Mam nadzieję, że uda nam się pokazać to w filmie.

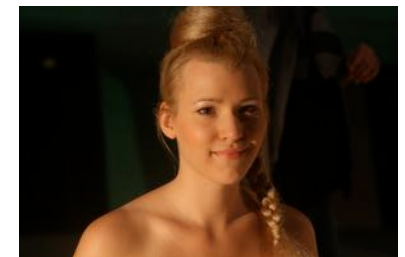
Wracając do tego, że tyle osób szuka wsparcia innych ludzi, dla mnie to też było zaskoczeniem, że tu wszyscy chętnie się dołączają, warunki są, jakie są, śpimy pokotem, kolejka do łazienki codziennie rano gigantyczna, nie jemy wymyślnych dań, warunki socjalne są takie sobie. Jest tu dużo dorosłych, starszych osób, które może już odzwyczaiły się od spania w takich warunkach na materacach. Wczoraj hałasowaliśmy dość długo, inni poszli spać, ale nikt nie mówi, że im to przeszkadza. Uczymy się tolerancji wobec siebie nawzajem.

Jak to się ma do piramidy Masłowa, że człowiek najpierw musi zaspokoić podstawowe potrzeby, a sztuka to „fanaberia”?

Nie, większość ludzi, którzy tu z nami są, nie mają zaspokojonych potrzeb podstawowych. Jeżeli miałabym czekać do tego momentu, to myślę, że bym się nie doczekała, jak większość z nas. Ja mam 53 lata i cieszę się, że nic nie posiadam (śmiech). Ostatnio spotkałam mojego kolegę, artystę, który przyjechał z Niemiec, powiedział piękne zdanie: „może nie mamy pieniędzy, ale mamy czas”. Mamy czas, żeby poświęcić go innym, sobie. Jak on to powiedział, to sobie pomyślałam, że coś w tym jest, że często zajmowałam się rzeczami pilnymi, a nie ważnymi. To były rzeczy pilne, ale nie wiem dla kogo. Dla mnie nie. Na pewno nie były ważne, bo jeżeli nawet zdarzało mi się nie zrobić tego na czas, to nic się nie zawaliło, czyli one były niepotrzebne i nieważne, ale zabierały mi mnóstwo czasu. Czasu na to, żeby posiedzieć z Panią Elą, pogadać, porobić coś, przemyśleć, napisać. Sztuki nie traktuje się jako robienie czegoś. Człowiekowi, który by usiadł i coś poczytał, pooglądał, potworzył, narysował, wydaje się, że nic nie robi w tym czasie. Natomiast, kiedy siedzi za biurkiem i przekłada papiery z prawa na lewo, to jest wtedy zajęty, jest pożyteczny.

W sumie ludzie przestali robić normalne rzeczy, ogarniać - jak to się teraz mówi - swoje otoczenie, żeby było ładne, przekazywać umiejętności, rzemiosło. I nagle okazuje się, że artyści muszą to robić.

Tak, przejęli inicjatywę, niekoniecznie artyści, też ludzie, którzy mają potrzebę przebywania z innymi albo robią jakieś swoje projekty. Teraz tworzenie tego typu rzeczy, grup, wspólnot, stało się sztuką. >>





Dlatego chyba jest taki problem z definicją sztuki. Niektórzy jeszcze uważają, że tylko malarstwo przedstawiające jest sztuką, a inni, że antropologia stosowana to jest sztuka.

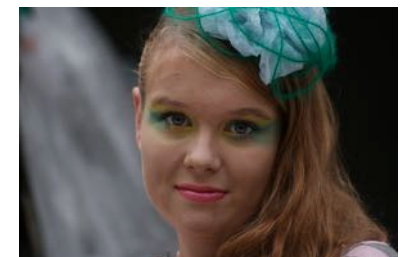
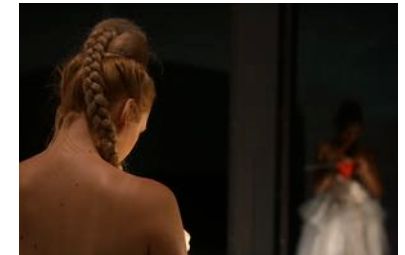
Te wspólnoty tworzą często ludzie, którzy mają wykształcenie, sukcesy zawodowe, którzy może też i mają jakieś sukcesy finansowe, ale nie mają poczucia sensu.

Jak przyjechałam tu po dziesięciu latach, miałam dużo czasu, odwiedzałam znajomych. Najpierw wymyślił się „Bajkomanię”. To robiliśmy w lipcu. Głównie opieraliśmy się na grupie znajomych i ich znajomych. Natomiast w scenie zbiorowej potrzebowaliśmy ludzi-kamieni. Wymyśliłam, żeby było łatwiej, że to będą szare kombinezony – nauczona, że sztuka to umowna rzecz, symbol tylko. Daliśmy ogłoszenie do gazety. Kto chce, może przyjechać, wziąć udział, jest pewien rodzaj warsztatów... To było niesamowite, że w pewnym momencie zaczęła pojawiać się grupa ludzi, jakieś pary starsze, rodziny z małymi dziećmi... Ta scena jest dla mnie zawsze najbardziej wzruszająca, kiedy zdejmują oni z siebie te szare kombinezony i widać, że są to zwykli ludzie, którzy przyszli na nasze ogłoszenie, z ulicy, z parku. Prowadziłam z nimi rozmowy. Później było „Ocieplanie miasta” i też właściwie nie bardzo wiedziałam, jak to się potoczy, ile osób odpowie, ile osób tego potrzebuje. Wydawało mi się, że bardzo dużo mówi się o ludziach młodych. Oczywiście tworzy się uniwersytety trzeciego wieku, kluby seniora... Mnie się bardzo nie podobał też jeden projekt z Warszawy, nie powiem czyj. Zabrało się grupę osób starszych i przywiozło do klubów młodzieżowych do Warszawy. Uważam, że ludzie sami z siebie powinni mieć potrzebę pójścia do klubu. Zaczęłam więc myśleć i to „Ocieplanie miasta” samo z siebie do mnie przyszło. Jak mówi Beata Tyszkiewicz – prawdziwa dama to pali, pije i szydełkuje. Wydawało mi się, że jeżeli rzucę takie hasło, że robimy szydełkiem kwadraty i je łączymy, zszywamy i się jednoczymy (nie jest to mój pomysł, to jest pomysł realizowany na całym świecie) to ono ściągnie specyficznych ludzi. I tak się stało. Ten szalik tu leży, ma około czterystu kwadratów.

Myślę, że tutaj fajne jest to, że starsze dziewczyny też odkryły, że nie ma problemu, żeby pójść do Mózgu czy do Muszli na koncert. Jak one przychodzą do Piekarni i my się w którymś momencie zbieramy, bo idziemy na koncert do Muszli, to one mówią, że idą do domu, że im nie wypada na koncert dla młodzieży. A ja mówię: przepraszam bardzo, ale ja jestem tylko kilka lat od Was młodsza. I to je przekonuje. Jednak mimo różnicy naprawdę niewielkiej one wciąż postrzegały mnie jako młodszą osobę.

Wiek jest kwestią umysłu...

One w którymś momencie przylapały się na tym same. Pytam się ich: „dlaczego mnie traktujecie jak gówniarę”, a one mówią: „nie wiemy dlaczego, może Ty się inaczej zachowujesz”.>>





No właśnie, ale kto im zabrania tak się zachowywać. I faktycznie one się dają namówić, idą na ten koncert, popijają piwko i luzik. „Bo my się bałyśmy, że będą na nas patrzeć jak na dziwadła.” Często ze względów zawodowych ta otwartość chodzenia w różne miejsca jest przypisana artyście. Artysta może mieć siwą głowę, dziewięć dych na karku i iść do klubu młodzieżowego i nie czuć się tam wyalienowanym. Natomiast kobieta, szczególnie starsza, nie może pójść w miejsca, które są przypisane młodym ludziom. Jej wypada pójść do opery, do teatru, może do kina ewentualnie, restauracji... ale na pewno już nie do pubu czy tzw. ogródka. Myślę, że dzięki tej akcji wiele osób przełamało swoje zahamowania. Czemu nie mieliby słuchać muzyki swoich dzieci i wnuków? Okazuje się, że im się to podoba, tylko wcześniej nie było tej odwagi.

Jest coś takiego, że ludzie siedzą na ławce i narzekają, na przykład na bezrobocie. Po czym nagle się okazuje, że poświęcasz takiej osobie dwie godziny i to wystarcza, coś się zmienia. Okazuje się, że przez całe życie nikt nigdy nie poświęcił im tych dwóch godzin, to jest smutne. I piękne, gdy coś zaskoczy...

Myślę, że jest też taki problem ze studiami, że redukuje się bardzo dużo... Fajnie, że ludzie się kształcą, człowiek jest mądrzejszy, bardziej świadomy itd. Ale nie powinno się wmawiać im tego, że kończąc studia znajdują w określonym zawodzie pracę. Natomiast fajnie, że mają studia, ponieważ się rozwinęli. Może dobre byłyby studia ogólne, rozwijające, humanistyczne. I czy absolwent będzie miał tę pracę, czy nie – to już mniejsza o to. Przypuszczam, że niedługo już nikt z nas nie będzie miał pracy.

Nie będzie... Jak sobie sam nie wymyślisz zajęcia, to nie będziesz miał pracy.

Praca będzie czymś bardzo koniecznym albo bardzo luksusowym. Wydaje mi się, że coraz mniej potrzeba ludzi do czegośkolwiek, nie wiem jak ten świat będzie wyglądał. Chociaż pewnie tego nie dożyję, ale martwię się na zapas, za innych.

Cała nasza cywilizacja zbudowana jest na wzroście, produkcji. Mam wrażenie, że dużo lepiej świat wyszedłby na tym, gdyby trochę się „cofnął”, zatrzymał produkcję. Stworzono już tyle, że można przestać, wszystko już tu jest.

Jeżeli z ilości przejdziemy na jakość, to będzie dobrze. Ale żeby tak było, musimy mieć wykształcone społeczeństwo, ktoś, kto nie posiada pewnych umiejętności, nie zrobi niczego jakościowego. Na to potrzeba dużo czasu, żeby się tego nauczyć. Ja np. bardzo dobrze robię na drutach i szydełkuję, ale robię to od dziesiątego roku życia. To nie odnosi się tylko do rękodziela, ale też do innych rzeczy, dziedzin. Żeby wytworzyć jakiś przedmiot wyższej jakości, to trzeba go najpierw wymyślić, a więc trzeba mieć dużo w głowie, trzeba mieć świadomość, > >





być człowiekiem rozwiniętym, mieć umiejętności w rękach, w używaniu maszyn. To, że ma się młotek w ręku, nie znaczy, że się go umie używać.

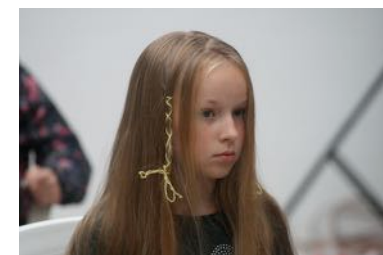
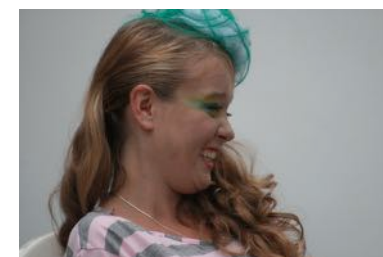
Może właśnie tego się powinno uczyć, a nie marketingu.

Właśnie, my jesteśmy teraz w usługach... Kilka lat temu wyszła książka „Prace ręczne jako pielęgnacja ducha” – Crawford był filozofem, najpierw pracował na uczelni, potem w korporacji, aż w końcu rzucił wszystko w diabły i założył zakład reperacji starych motocykli – którą po Thoreau i Pirsigu uważa się za trzecią najważniejszą książkę o tym, jak żyć. Jest szansa, że może nasze przyszłe pokolenia znowu będą ludźmi kreatywnymi i twórczymi, a nie tylko dzwoniącymi co chwila i mówiącymi, że możemy Państwu zwiększyć abonament na lepszych warunkach, bo patrząc na ilość telefonów jakie dostają, odnoszę wrażenie, że wszyscy pracują w telemarketingu.

Masz pewną ilość produktu, którą musisz sprzedać, musisz dziennie wykonać setki telefonów. Przecież ci ludzie są wykończeni psychicznie. I potem się dziwimy, że taki człowiek nie jest zainteresowany przyjściem do muzeum, pójściem na koncert czy uczestnictwem w takim projekcie jak nasz. A z drugiej strony, są tacy, którzy chcą wyjść, uczestniczyć, bo chcą się od tego maksymalnie oderwać. Jeden człowiek położy się do łóżka i włączy sobie telewizor, albo w ogóle nic nie włączy, tylko nakryje się kołdrą i udaje, że go nie ma. A drugi będzie szukał alternatywy i będzie chciał się z tego wyrwać. Ludzie, od których finansowanie kultury zależy, nie zdają sobie sprawy z tego, w jakim społeczeństwie funkcjonują i żyją i dla kogo to wszystko robią. Dlatego popełniają błędy. Nikt ich nie uświadamia, jak wygląda życie tzw. przeciętnego Polaka (nie lubię tego określenia).

Ale czy Ciebie ktoś uświadamia? Przecież to widać...

Z jednej strony widać, a z drugiej strony czytam, interesuję się socjologią, filozofią, kulturą. Nie tylko z powodu swojego zawodu. Jeżeli mam coś robić dla innych ludzi, to staram się poznać te problemy. Jeżeli ktoś chce rządzić miastem czy krajem, to też powinien te problemy poznać. To dla mnie logiczne, że jeżeli się zarządza instytucją – a byłam dyrektorem przez wiele lat – to powinnam wiedzieć coś o tym, jak świat wygląda, jak wygląda np. życie pana, który przychodzi do Centrum stróżować. Kiedy byłam dyrektorem w Bydgoszczy, większość osób zatrudnionych na stanowiskach, to byli ludzie, którzy mieli bardzo niskie wykształcenie. Ja do trzydziestego któregoś roku życia nie miałam styczności z takimi osobami. Właściwie ten kontakt bezpośredni zaczęłam kiedy zostałam dyrektorem, bo raptem problemy pani Ani, pani Zdzisi zaczęły mnie dotyczyć. Już nie byłam panią z górnego piętra, tylko byłam osobą, do której przychodziło się, mówiło o swoich problemach, i która te problemy musiała rozwiązywać. Zaczęło mi się coś w głowie otwierać, że takie miejsce jak muzeum też może być użyteczne społecznie, że to słowo „społeczne” czy „sztuka publiczna i społeczna” ma głęboki sens. Nie chodzi tylko o to, żeby pokazać coś dziwnego i żeby wszyscy powiedzieli „o...”.>>



Odwiedziła nas w Piekarni grupa biznesmenów amerykańskich, nie wiem dokładnie, co tutaj robili, byli chyba zaproszeni przez Uniwersytet na jakąś wymianę i między innymi ich celem było wspieranie różnych fundacji zajmujących się kulturą i sztuką. Na podstawie rozmowy z nami i obserwacji mieli udzielić nam jakichś wskazówek, rad, jak to rozwinąć itd. Na drugi dzień było bardzo śmieszne spotkanie. Pytają nas – czemu tego nie remontujemy. Odpowiadam, że mamy to na razie na rok i nie wiemy, czy właściciele będą nam to użyczyli na następny rok, a poza tym jest to budynek raczej do rozbiórki, więc nie wiemy, czy opłaca się to remontować. Pokiwali głowami „no tak, no dobrze”. To może byśmy rozwinęły stronę internetową, żeby tu więcej ludzi przychodziło. Pytam się ich „ale po co?”. Nie sprzedajemy tu piwa, żadnego wyszynku nie prowadzimy, w związku z tym, im więcej jest ludzi, tym dla nas większe są koszty utrzymania. Poza tym trudno jest w grupie stu osób zrobić warsztaty. Jedna osoba nie poprowadzi tego. Chodzi też o pewną integrację. Jakby przyszło więcej osób, tak jak na otwarciu – trzysta, czterysta, to robi się paraliż. Owszem, możemy od czasu do czasu zorganizować koncert itd., wtedy robimy reklamę, przychodzi dużo ludzi i jest fajnie. Ale na co dzień chodzi o to, by pracować w określonej grupie, spotykać się i żeby to grono poszerzało się o ludzi, którzy naprawdę chcą tu być, a nie przyjść z ciekawości. Więc „po co?”. Kolejna sugestia od panów z Ameryki, że może powinnyśmy tu wprowadzić hierarchię, że dyrektor itd. Pytam się znów „po co?”, skoro od tego uciekałam z CSW, nie mam takich aspiracji, żeby się tu dzielić na dyrektorów, zależy nam na stworzeniu wspólnoty niezhierarchizowanej. Oni już tacy załamani byli, nie wiedzieli, jak mogą nam pomóc. My tak naprawdę nie potrzebujemy pomocy. Mówimy tylko, że mamy problemy z pozyskaniem środków finansowych, ale jakoś sobie radzimy, każdy coś przyniesie, kupi, jakoś to toczymy wspólnymi siłami. Dzisiaj było mi bardzo miło, ponieważ zaglądam do poczty i jest mail od jednego z uczestników, który pisze, że jesteśmy wspaniałe i on rozumie, że sobie świetnie radzimy.

Ale wiesz, ludzie są tak uczeni. Wychodzą z założenia, że wszędzie struktury muszą działać w ten sposób. To nieprawda. Tam, gdzie się wprowadza te procesy, one się bardzo wydłużają, a to nie na nasze wschodnie dusze. Ja najszybciej komunikuję się jak się wydrę, żeby mnie było głośno i wyraźnie słyszać (śmiech). Te struktury, zależności, zawsze były dla mnie przerażające. Ludzie zaczynają się sobie nawzajem podporządkowywać, a tego bardzo nie lubię.

A Ty jesteś szczęśliwym człowiekiem?

Nie wiem, nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Jak patrzę z perspektywy na swoje życie, to mogę powiedzieć, że pod względem zawodowym na pewno nie było porażki. Byłam przez ileś lat dyrektorem w Bydgoszczy, później założyłam szesnaście stowarzyszeń w całej Polsce, wspierających sztukę współczesną, Znaki Czasu, później > >

wicedyrektorem w Zamku, chociaż myślę, że był to dla mnie najmniej kreatywny czas. To nie było chyba miejsce dla mnie. Myślę, że przychodzi taki czas, jak mówiła Maryla Sitkowska, kiedy chce się to wszystko uporządkować i już człowiekowi się nie chce robić wystaw. Myślę, że jestem już na takim etapie. Mam różne pomysły, ale mogliby je realizować młodzi. Byłabym chyba dobrym pedagogiem. Uczyłam kiedyś na uczelni i jeśli miałabym na cokolwiek ochotę, to właśnie najbardziej na to, żeby przekazywać wiedzę, uczyć innych, jak organizować. I teraz to robię. To jest pewna bolączka, że ma się doświadczenie, można by przekazać je młodszym, innym, przygotować ich do robienia różnych rzeczy. Człowiek się tyle razy sparzył i przeszedł tyle kontroli, że już prawie jak poradnik chodzi, od najdrobniejszych rzeczy. U nas się tego nie wykorzystuje. Właściwie każdy chce się uczyć na swoich błędach, ja tego nie rozumiem, to jest bardzo droga nauka. Lepiej się uczyć na błędach innych.

I ludzi i państw, i miast to dotyczy...

I związków międzyludzkich i partnerskich. Po co uczyć się na własnych błędach, lepiej na błędach małej syrenki. Nie ulegajmy swoim złudzeniom.

Małgorzata Winter była dyrektorem Muzeum Okręgowego w Bydgoszczy, a następnie – koordynatorem Programu Znaki Czasu i wicedyrektorem CSW Zamek Ujazdowski w Warszawie. Obecnie wraz z Martą Filipiak prowadzi w Bydgoszczy fundację Bez nazwy.

rozmawiała kk











Gdzie się znajdujemy, co to za miejsce?

Lubostroń, jak sama nazwa wskazuje, jest miejscem takim mocno uroczym i... dodatkowo dla mnie związanym z dzieciństwem, bo od dziecka zawsze tu przyjeżdżałem z pobliskiego Szubina. Miejsce nie tylko urocze, bo i piękny pałac w stylu Villi Rotondy Andrea Palladio, ale też i miejsce, które miało znaczenie w historii Polski, w którym rodziły się idee niepodległościowe. Tak, że jest to miejsce bardzo znaczące i rzeczywiście miło tu, LUBO tu przebywać.

Co tu robisz?

To jest w tej chwili praca nad drugim filmem, który reżyseruje Marta Filipiak i który ma być opowieścią o podwodnym świecie, opartą na Christianie Andersen. Sam gram rzeźbę. Myślę, że ta rzeźba, która stoi na dachu pałacu w Lubostroniu, rzeźba Atlasa, jest też dla mnie inspiracją do tego, kim mam być w tym filmie. Wczoraj siedzieliśmy kolejną noc prawie do trzeciej kręcąc zaledwie kilka ujęć, ale mam nadzieję, że wysiłek i energia włożone w to, co tutaj robimy, przyniesie rzeczywiście dobre rezultaty i efekty.

A co to jest za produkcja?

Typowo amatorska, taka produkcja bardziej wynikająca z entuzjazmu, niż z jakichś innych przesłanek. Bo trzeba dużo entuzjazmu, żeby coś takiego wymyślić i też dużo dobrej woli i przyjemności, żeby w tym wziąć udział, czy jako aktor, czy statysta, czy ktoś, kto robi scenografię, kostiumy, kto kręci...

Widzę, że tu jest tłum ludzi. Co was łączy?

Łączy nas właściwie Marta Filipiak, która ten film robi, i Łukasz Owczarzak, dwie główne postacie tutaj... no łączy też idea, żeby wspólnie coś zrobić, takie działania zawsze przynoszą więcej radości niż pojedyncze, zwłaszcza dla twórców, którzy na co dzień zajmują się sami tylko tworzywem artystycznym. Takie spotkanie z innymi ludźmi jest niezłą przygodą.

Czy to jest jakaś taka specyfika tych okolic i Bydgoszczy, że tyle się dzieje?

My dużo jeździmy, odwiedzamy różne miasta i bardzo dużo miast zdecydowało się właściwie żyć historią i odcinać kupony od tego, że tu zamek jest, a tu coś, tymczasem tutaj jest zupełnie inaczej, bardzo twórczo, ludzie robią różne współczesne rzeczy, niektóre bardzo eksperymentalne, czy dziwne... skąd to się bierze? >>

polifonia w Lubostroniu

rozmowa TR z Grzegorzem Pleszyńskim

na planie filmowym „Małej Syrenki”, reż.
Marta Filipiak, prod. Fundacja Bez nazwy



To jest dobre pytanie. Myślę, że są może bardziej twórcze obszary w Polsce niż Bydgoszcz, ale tu się rzeczywiście dużo dzieje, zwłaszcza w tej chwili, w tym czasie. Jest dużo pozytywnych działań, które prowadzą do powstawania wielu projektów. Myślę, że do tego też się przyczyniło trochę powołanie różnego rodzaju struktur, które pozwalają dofinansowywać pomysły artystyczne.

No tak, ale te pieniądze są dostępne dla każdego, ale nie każdy to robi. Więc dlaczego się udaje? Co musi się stać, żeby coś wyszło, żeby jakieś miasto coś zrobiło ze sobą, albo jakaś grupa...

Miasto to jest takie pojęcie abstrakcyjne i myślę, że dopiero od jakiegoś czasu próbuje się indywidualną działalność ludzi utożsamiać też z miejscem, z miastem, sami ludzie związani politycznie z miastem chyba przejawiają w ostatnim czasie coraz większą wolę współdziałania z artystami, bo władza często była arogancka wobec ludzi, zwłaszcza wobec artystów. Miała ulubionych artystów, takich, powiedzmy, dworskich. W każdym mieście to było i oni czerpali profity z tego, że ich tam prezydent klepał po plecach i dawał jakieś pieniądze, a reszta była skazana na prawdziwą ignorancję. Myślę, że to się co nieco zmieniło teraz w Bydgoszczy, bo ludzi twórczych jest tu mnóstwo. Ale ja zawsze mówię, że Bydgoszcz zasila głównie źródło artystów, jakim jest Szubin.

A skąd ten fenomen Szubina? Dlaczego tam coś wyszło?

To jest takie miejsce idealne na to, żeby być źródłem, ma osiem czy dziewięć tysięcy. Ludzie, którzy wyszli z Szubina, zajmują się różnymi dziedzinami aktywności twórczej. Są muzykami, tworzą performanse, instalacje, malarstwo. Angażują się w działania, właśnie tworzenia akcji, tworzenia projektów.

Jakie to jest miasto? Stare? Nowe? Industrialne? Piękne?

Nie, właśnie nie, jest takie przeciętne. Przeciętne, ale jak się chce zobaczyć, to w każdym takim maleńkim wycinku można zobaczyć cały wszechświat, bo to chyba tylko od tego zależy. I ta przeciętność wizualna i przeciętność mentalna akurat w tym wypadku jest też ważnym czynnikiem, który takie a nie inne postawy kreuje.

Ja mam taką obserwację, najpierw to dostrzegłam we Włoszech, byłam tam ponad tydzień we Florencji, która jest przepięknym miastem, pełnym turystów, ale ten renesans już zaczyna bokiem wychodzić w pewnym momencie, nie mogłam tam znaleźć żadnego współczesnego życia kulturalnego i teraz coś podobnego widziałam w Chełmninie. To jest przepiękne, prawie nie zniszczone miasto, pełno jest w nim gotyku i tak dalej, ale tam z dużym trudem spotkaliśmy trzy osoby, które >>

dopiero myślą o tym, żeby coś zacząć robić i nie ma takiego nowoczesnego życia kulturalnego. Czasem wydaje mi się, że takie miasto piękne, historyczne jest pewną przeszkodą i najczęściej twórcze są miasta pęknięte jakby. Warszawa jest pęknięta, Berlin jest pęknięty, a Twój Szubin?

Nie jest pęknięty, właśnie... Jest jednorodny. Szubin zawsze był taki, jaki jest.

Ale wróćmy do Chełmna, bo poruszyłaś też ważną strunę w mojej pamięci. W Chełmnie mieszka Maks Paczkowski, który działał tam pod szyldem Szkoła Zdarzeń Dziwnych i pod koniec lat dziewięćdziesiątych i na początku dwutysięcznych intensywna działalność tam była prowadzona. Grupa ludzi, którzy właśnie czuli taką potrzebę, żeby w stare, zatęchłe mury tchnąć coś nowego. Maks sam jest postacią dziwną i równie dziwną, co wspaniałą; jest to człowiek cichy i skromny, mnóstwo daje innym ludziom, wspiera artystów, nawet bezinteresownie, bez rozgłosu. On był takim punktem ożywczym w tym mieście i pod koniec lat dziewięćdziesiątych miałem przyjemność uczestniczenia w działaniach w Chełmnie. Maks mnie tam zaprosił, widząc jakiś mój performance. Przez kilka lat tam się działy rzeczywiście bardzo ważne rzeczy.

Co tam się działo i co się stało, że już się nie dzieje za bardzo?

No to już trzeba z Maksem porozmawiać, bo byłbym tu bardzo nieskromną osobą, gdybym zaczął mówić w jego imieniu. Od czasu kiedy tam wystąpiłem z performansem i z jakimiś wykładami o życiu, śmierci, o miłości, o sztuce, jakby wielu ludzi poodkrywało w sobie możliwość bycia kreatywnym, bycia nie tyle artystą, ale bycia aktywnym wobec rzeczywistości, wobec życia. Ujawnili się ludzie, którzy wiersze piszą, którzy muzykę robią, którzy też zaczęli performance robić i instalacje. Pamiętam, że na takie działania artystyczne przychodziła młodzież licealna, przychodzili bezrobotni, przychodzili ludzie studiujący, urzędnicy, przychodził burmistrz, przychodzili adwokaci i przychodzili ludzie z mafii, żołnierze... Tak, że przekrój przez całe społeczeństwo był. I ci ludzie właśnie znajdowali wspólną płaszczyznę w tym miejscu, gdzie zdarzały się rzeczy dziwne.

Skończyło się to niestety bardzo tragicznie. Kiedy byłem w Sydney i tam przygotowywałem performance, dostałem wiadomość, że stało się coś strasznego i kiedy otworzyłem wiadomość mailową, okazało się, że właściciel tego lokalu, w którym to miało miejsce, który w międzyczasie stał się takim moim bliskim przyjacielem, Kojak na niego mówili, utopił się w jeziorze koło Wisły. Całą noc przygotowywali imprezę, a że była upalna noc, nad ranem postanowili pojechać nad jezioro, zaraz obok Chełmna, parę kilometrów; Kojak wszedł do wody... Znaleźli go gdzieś w trzinach. Prawdopodobnie dostał ataku serca. Młody chłopak, trzydzieści chyba trzy lata miał. Tak, że taką wiadomość dostałem przed moim performansem w Sydney. Myślę, że w jakiś sposób tę śmierć przeczuwałem, >>

wtedy właśnie zdarzyło się dużo takich dziwnych rzeczy, których jako sceptyk nigdy nie traktowałem poważnie, takich intuicyjnych, np. kilka miesięcy przed śmiercią Kojaka narysowałem rysunek, gdzie na powierzchni wody płynie ciało, wokół pływają ryby i jest taki napis „zamilkłem”. Oczywiście nigdy go nie kojarzyłem bezpośrednio z tą tragedią, ale to mi dało dużo do myślenia.

To był chyba rok 2001 i od tamtego czasu, ilekroć bywałem w Chełmnie, jak szedłem ulicą, wielu ludzi mnie spotykało i mówiło: „wiesz, od tamtego czasu wszystko się załamało”, wszystko pękło. Jakby ta śmierć spowodowała takie wysunięcie cegły i spowodowała, że się cały gmach zawalił. Fakt, że takim fundamentem jest Maks, tylko że Maks bardzo często ma mnóstwo ciszy w sobie i potrafi miesiącami być bez kontaktu z innymi ludźmi.

W ogóle samo Chełmno jest takim miejscem, które z lotu ptaka ma kształt łodzi, wiesz? I ono tak płynie nad tą doliną Wisły. Miejsce rzeczywiście mocno niezwykle i tam bardzo też dużo rozumiałem.

To mi wygląda na kolejny dowód, że, żeby gdzieś się coś wydarzyło, to jest potrzebny jeden szaleniec.

Maks jest właśnie takim człowiekiem.

Są tu jeszcze jakieś ważne miejsca dla ciebie?

Całe Pałuki to jest takie ważne miejsce. Tu w Lubostroniu była „Konstrukcja w procesie” w 2000 roku, między innymi Ryszard Waśko wystawiał w piwnicach tego pałacu. Blisko jest Biskupin, tam też działali artyści. W Żninie działali artyści. W Barcinie do dzisiaj stoi rzeźba Randy’ego Jewarta z USA. Pięknie wygląda, jest takim magicznym jakby kromlechem. Tu są kopalnie wapienia i on wydobywał ten kamień wapienny i stworzył z tego kromlech na tle takich gierkowskich bloków. Taka magia połączona z socrealistyczną sytuacją. Do dzisiaj ten pomnik stoi.

Nie wydaje Ci się, że była taka niezwykła – ja nie wiem jak to nazwać – energia, ferment , w tych latach dziewięćdziesiątych. Np. w Gniewie była scena muzyczna metalowa, bardzo dynamiczna. Teraz oni uważają, że się wszystko wokół nich skomercjalizowało. To samo, jak widzę, jest w Chełmnie – było, a nie ma. Co się stało? Czy nie czujesz, że jest jakiś taki moment, że znowu coś powinno się wydarzyć?

W tej chwili jest taka tendencja, żeby mówić, że ludzie są oburzeni, niezadowoleni i to jest świetny obszar do tego, żeby przechwycić kontrolę nad jakąś częścią ludzi, żeby znowu tworzyć sytuacje, które by mogły pozwolić jednym ludziom manipulować inną częścią ludzi. Nienawidzę rewolucjonistów i wszystkich manipulatorów, > >



bo rewolucje nie prowadzą do niczego, świat i tak się będzie zmieniał, bo dynamika świata nie pozwoli, żeby stał w miejscu. Ale masz rację, rodzi się coś takiego, że pojawiają się nagle ludzie, którzy widzą sens, i doznają satysfakcji z tego, żeby coś zorganizować i to są zmiany zgodne z ruchem i tempem świata i to jest ok. Właśnie sztuka może pokazać takie odpowiednie tempo przemian. Po prostu musi być tętno rzeczywistości w tym. Ktoś, kto mówi, że przyspieszy tętno, bo są potrzebne szybkie zmiany, to nie jest doktor, który ratuje chory organizm.

Rozmawiałam już o tym z kilkoma osobami, że teraz artyści robią rzeczy, które człowiek w naturalny sposób powinien robić, a zaprzestał - dbać o swoje otoczenie, przekazywać umiejętności i wiedzę innym, tworzyć pewną wspólnotę...

No oczywiście, że tak, ale na szczęście w tej chwili już artyści nie roszczą sobie pretensji, żeby mieć tę jedyną odpowiedzialność za rzeczywistość, za twórczość, za sztukę. Ten film, który tutaj jest robiony, też udowadnia, że nagle aktorami są bardzo normalni ludzie, którzy nigdy ze sztuką nie mieli nic wspólnego. Nagle pani, która była całe życie gospodynią domową, staje się królową świata podwodnego, staje się aktorką, artystką, bierze odpowiedzialność za ten fragment rzeczywistości, nietypowej dla niej. Myślę, że uruchomi to też w jakiś sposób jej myślenie o samej sobie. Zresztą łatwość tworzenia w tej chwili jest tak wielka, jak nigdy przedtem i przyzwolenie na to, co sztuką jest, a co nie jest, też jest ogromnie rozszerzone, i to jest fajna rzecz. Ludzie są coraz bardziej kreatywni, coraz bardziej artykułują swoją wolność i miłość do życia, i w tym widzę szansę dla świata i dla rozwoju, zarówno pojedynczego człowieka, ale też dla całych formacji społecznych, różnych wspólnot, że nie ma tego dyktatu jednego głosu o rzeczywistości, tylko jest to taka polifonia.

Grzegorz Pleszyński zajmuje się malarstwem, rysunkiem, grafiką, projektowaniem okładek i plakatów, fotografią, video-artem, performansem, happeningiem. Pracuje z ludźmi skazanymi w więzieniach, o sztuce i świecie rozmawia z artystami z Afryki, z Indianami, z Aborygenami w australijskim buszu, a także z malarzami z Singapuru, Nowego Jorku, Berlina i Warszawy. Jest autorem projektu edukacyjno-artystycznego „Antydepresyjna Szkoła” oraz wielu projektów artystycznych z ludźmi niepełnosprawnymi, między innymi w bydgoskiej szkole dla osób niedowidzących.

rozmawiała kk



2012

DREWNICA/ŻUŁAWKA

Rano wyruszyliśmy z Rybiny. Już półtorej godziny po starcie – pierwsza niespodzianka: nieczynna śluza Gdańska Głowa z powodu tak zwanej cofki; normalnie niższa Szkarpawa w wyniku sztormów w Zatoce ma wyższy poziom niż Wisła, wrota się nie domykają pod naporem wody... Może to potrwać dzień albo trzy.

A nas czeka 55 kilometrów w górę rzeki, a więc pod prąd – do Gniewu. Utknęło tu kilka jednostek. Wszyscy nomen omen *głowią* się, co robić. W końcu decydujemy się wrócić parę kilometrów do Drewnicy, sąsiadującej przez most z Żuławką, aby obejrzeć XVIII-wieczny wiatrak.

W Drewnicy bacznie „paczą”.

„Paczymy” zatem i my.

Snucie się po okolicy jest oczywiście przyjemne, pod wieczór decydujemy się jednak płynąć do śluzy, gdzie „wspólnym wisłkiem całego społeczeństwa”, w tym zebranej już sporej grupy żeglarzy, udaje się wszystko pozamykać i poodmykać, włącznie z mostem obrotowym (żeby przeszły maszty łodzi żaglowych).

W nagrodę na Wiśle czeka nas szokujący swą intensywnością zachód słońca. Płyniemy w nocy, żeby nadrobić ten zgubiony dzień.









BIAŁA GÓRA



MALBORK



PIEKŁO





GNIEW

krótka rozprawa między kasztelanem, biznesmenem a plebanem

Panorama Gniewu pięknie rysuje się z Wisły, nad kępami bujnej zieleni wznosi się czerwona masywna sylweta zamku i jego przyległości. Czeką nas tu kolejne niespodzianki hydrologiczne. Poziom wody w wąskim i krętym starorzeczu Wierzycy, którym w czerwcu można było podpłynąć niemal pod sam zamek, jest teraz tak niski, że nie decydujemy się na podejście tam naszą łodzią. Do miasta wkraczamy zatem od Wisły, drogą wznoszącą się miękkim łukiem z terenów zalewowych ku niewielkiemu zamkowemu wzniesieniu.

„Opanuj Gniew” – brzmi tutejszy slogan promocyjny, bierzemy się zatem do opanowywania.

W Gniewie mieści się krzyżacki zamek, który swój wygląd i stan zagospodarowania zawdzięcza albo szaleńcowi albo dużemu kapitałowi. Okazuje się, że jednemu i drugiemu; wizjoner jednak, jak można się domyślić, był pierwszy. Pytani o zamek, wszyscy jednogłośnie odsyłają nas do kasztelana Jarosława Struczyńskiego. Jesteśmy jednego dnia umówieni z kasztelanem zamku i proboszczem, spodziewamy się zatem konserwatywno-historycznych opowieści w sosie patriotyzmu lokalnego.

Gdy czekamy na kasztelana w lobby przyzamkowego hotelu, przy recepcji pojawiają się dwa klony Jessie Norman, mówiące niemiecku. Chwilę później wpada nam w oko plakat zaczynającego się właśnie w Gniewie międzynarodowego festiwalu muzyki gospel, sytuacja przestaje więc wydawać się tak absurdalna.

Jarosław Struczyński jest człowiekiem w średnim wieku o wdzięku charyzmatycznego przywódcy, błękitnych oczach rewolucjonisty i zaroście sarmaty. Dobry mówca, świadomy kontekstu historycznego i społecznego, nienaganną polszczyzną, z dumą, ale i pewną pokorą mówi nam, jak zainspirowany opowieściami brata historyka, w wieku sześciu lat zapowiedział rozbawionym rodzicom, że odbuduje zamek w swojej miejscowości.

Zamek spłonął w 1921 roku. W latach 90. Jarosław Struczyński, młody dyrektor miejscowego domu kultury namówił gminę, by powoli zaczęła zabezpieczać, udostępniać i w końcu odbudowywać ruiny. Pierwsza fala potransformacyjnych bezrobotnych w ramach robót publicznych zaczęła remont. Znaleźli się też zdolni rzemieślnicy skorzy do odtwarzania zbroi, broni i innych historycznych przedmiotów, czyniąc z Gniewu wybitny ośrodek rekonstrukcji historycznych, z husarią, turniejami rycerskimi i kusznikami. Kasztelan ma zresztą rękę na temblaku, bo nadwerężył ją zrzucając kopią przeciwników z konia. Od kilku lat podczas rekonstrukcji bitwy pod Grunwaldem jest Ulrichem von Jungingenem, co też daje się jego kościom we znaki.

Dzisiaj jego rola jest bardziej niż przed laty wizerunkowa, zamek został bowiem, wobec trudności miasta z finansowaniem tak dużej inwestycji i mimo obaw miłośników, sprzedany w prywatne ręce firmy mleczarskiej. Jest tu hotel, elegancka restauracja, nauka jazdy konnej, wielkie „terenowe szachy” i inne atrakcje; zrobiono też pierwszy krok ku Wiśle – rejsy smoczych łodzi i gondoli. Choć to, co wydawało się kiedyś szaleństwem, dziś się zrutynizowało i skomercjalizowało, Struczyński nie stracił wrażliwości społecznej, która > >

powodowała nim na początku kariery. Czuje, że zamek, chociaż ciągle nakręca koniunkturę, stał się nieco elitarną zabawą i że wielu gniewian przestało się z nim utożsamiać, czuje, że czas na nowych szaleńców, na działania skierowane bardziej do mieszkańców niż do turystów i miłośników średniowiecza. Próba samoidentyfikacji poprzez historię i wykorzystanie potencjału miejsca udało się nadzwyczaj, ale nic nie stoi w miejscu. Gniew dojrzewa do zmian.

Proboszcz parafii św. Mikołaja w Gniewie, Zbigniew Rutkowski, wita nas dzierżąc w ręce laskę ze srebrną kulą. Na dzień dobry mówi nam to, o czym wiemy doskonale, że tylko wariaci zmieniają świat. Dość młody, sypiący dowcipami i anegdotami, krytyczny wobec biurokracji i pełen entuzjazmu wobec swoich parafian, proboszcz jest w Gniewie od kilku lat i oprócz duszpasterstwa realizuje tu swoją archeologiczną pasję, wydobywając spod i wokół kościoła kolejne skarby rzucające nowe światło na historię miasta.

Ksiądz podobnie jak kasztelan zdaje sobie sprawę z potencjału kulturowego Gniewu, postanowił jednak wykorzystywać go w sposób, który przemówi do mas, tworząc różnego rodzaju „nowe świeckie tradycje”. Wokół kościoła przy urokliwej uliczce pełnej małych kolorowych kamieniczek oglądamy więc misia Maciusia, przebieranego co miesiąc w nowe stroje, i odcisk jego łapy; ogród historii, z kamiennymi pomnikami-instalacjami informującymi w dość rozrywkowy sposób o ważnych momentach z dziejów miasta, a między nimi pola do różnych gier, jak kółko i krzyżyk czy szachy.

Ksiądz zainicjował też coroczną paradę księżniczek, która odbywa się właśnie 15 sierpnia, w dniu naszej wizyty w Gniewie... Pochód otwiera wikary w kolorowej peruce i na szczudłach. Parada księżniczek w każdym wieku, w szatach z przewagą różu, pod wodzą księdza, w tym mieście silnych męskich osobowości i zrekonstruowanych rycerzy, mogłaby zgorszyć feministki. Ma to jednak jakiś wymiar wspólnotowości i posmak matriarchatu. Jedyne, co dziwi, to że mimo tłumnego uczestnictwa i lekkiego charakteru imprezy, miny są poważne, zwłaszcza podczas losowania fantów...

W Gniewie jest z nami artysta Arek Pasożyt, który ostatnio postanowił być także do pewnego stopnia żywicielem, realizuje więc akcję CHĘTNIE POMOGĘ. Odziany w koszulkę z tym hasłem, rusza w miasto oferując różne usługi. Nie jest zbyt często zatrudniany, ale za to jesteśmy już zakolegowani z połową miasta. Za Pasożytem trafiamy do ludzi będących, można rzec, trzecim głosem w Gniewie.

W mieście jest interesująca scena muzyczna, zwłaszcza heavy metalowa, o czym dowiadujemy się od muzyka i – jak to się teraz mówi – „lokalnego aktywisty”. Uwielbia życie w Gniewie, ma swoją małą firmę, wraz z żoną realizuje wiele pasji. Nie chce wypowiadać się oficjalnie – z jednej strony szanuje kasztelana i wspomina dom kultury, pełen instrumentów, dzięki czemu gniewskie zespoły pojawiały się w latach 90. jak grzyby po deszczu, z drugiej jest wyraźnie rozczarowany kierunkiem, w jakim rozwinął się zamek, niegdyś miejsce wspólne, dziś dostępne za biletami. Widać, że czas młodych gniewnych gniewian minął, ale ta nowa rzeczywistość, która próbuje dostosować się do praw rynku, uwiera. Miasto zlikwidowało dom kultury i przeniosło jego funkcje i misję na zamek, a ten z kolei przemienił się w atrakcyjny turystyczny biznes, sprowadzający do miasta ludzi i pieniądze, ale nie służący już bezpośrednio mieszkańcom. > >









Problem ten, choć z nieco innego punktu widzenia, dostrzega także miejscowy biznesmen, Wiesław Śliźniński. Otwarty przez niego nowy lokal nazywa się Centrum Kultury. Na razie jest tu miła obsługa, niezbyt drogie jedzenie, kiepska muzyka, ekstrawaganckie toalety i duży plac zabaw dla dzieci, a okoliczni mieszkańcy narzekają na hałas i wieczory karaoke.

Śliźniński raczej nie myśli o kulturze wysokiej, planuje jednak w swoim barze warsztaty i inne działania z pogranicza kultury, nie kryjąc nastawienia biznesowego. Co będzie w Centrum Kultury, czas pokaże, na razie jest popularnym miejscem wśród młodych rodziców za dnia i miejscem zabawy miłośników popkultury wieczorami.

Z tarasu Centrum Kultury widać dach niewielkiej starej kamienicy, na którym pan w grubych okularach pielęgnuje pomidory. Dorodne czerwone i zielone jeszcze kule pną się po sznurkach, w skrzynkach falują na silnym tu niezwykle wietrze, pióropusze dymki, ziota i kilka kwiatów ozdobnych. Ponieważ ogrodnictwo miejskie jest naszą pasją, dzwoniemy z Pasożytem domofonem z dwoma guzikami: „góra” i „dół”. Pan próbuje nas spławić za pośrednictwem żony, w końcu każe nam przyjść za godzinę. Wdajemy się w pogaduszki z osiemdziesięcioletnią mieszkanką Gniewa, która słabo chodzi, spędza więc czas w oknie na parterze domu na wprost ogrodnika. Trudno zrozumiałą gwarą chwali sąsiada, który obdarowuje ją pomidorami, pomstuje na Centrum Kultury i cieszy się z naszego zainteresowania miastem.

Pan ogrodnik po godzinie pojawia się na swoim dachu, jest jednak podejrzliwy i nie chce nas wpuścić. Pokrzykujemy więc z dołu, pytając go, skąd pomysł uprawy warzyw w tym miejscu. Odpowiada ironizując, że większość uważa go za świra i że podczas gdy inni siedzą z piwem na ławkach narzekając na bezrobocie, on podlewa od rana do nocy pomidory „jak głupi”. Warzywa uprawia na użytek własny i znajomych, sprzedaje rozsady, na czym zarabia tysiąc złotych, co pozwala prosperować przez sezon jego okazałemu warzywnikowi. Na nasze standardowe pytanie, co jest interesującego w Gniewie, odpowiada, że „on się samym sobą interesuje”, a spytany, co by w mieście zmienił, uśmiecha się sceptycznie i mówi „nic, nikogo i nic nie da się zmienić”.

Wracamy powoli na jacht, po drodze zagadując do miejscowych kundli, robiąc zdjęcia rybiej głowie i wpadając chyba po raz dziesiąty na proboszcza, a potem na bezrobotnego Łukasza, który po śmierci rodziców mieszka sam z siostrą i snuje się z kolegami po mieście, przyrzekając, że skorzysta z pomocy Pasożyty, jeśli tylko znajdzie taką potrzebę. Ten ostatni pomaga jeszcze paniom z wydziału promocji miasta rozklejać plakaty festiwalu gospel i nosić skrzynki z garażu chłopakowi imieniem Krzysiek. Na pytanie, co jest najlepszego w Gniewie, Krzysiek odpowiada bez zmużenia oka: Ludzie.





Co powinien zrobić człowiek odwiedzający Gniew?

Myślę, że najpierw powinien spojrzeć na Gniew z lotu ptaka i uświadomić sobie, że jest to ewenement, nie tylko w skali polskiej, ale i w tej części Europy – zachowana średniowieczna struktura urbanistyczna, stare miasto, otoczone murami, z centralnym placem, z ratuszem, z kamienicami, z kościołem św. Mikołaja, a obok, we wschodniej części – wzgórze zamkowe, z zamkiem krzyżackim budowanym od 1283 roku. To historyczne miasto otoczone jest przedmieściami, które oczywiście dzisiaj zmieniły trochę funkcję, ale główne ciągi komunikacyjne, czyli szlaki wiodące w stronę Malborka, Gdańska i w stronę Świecia, dalej tkwią prawie w tych samych miejscach, zatem całe współczesne miasto rozwija się wokół dawnych, średniowiecznych przedmieść.

Bez wątpienia też głównym skarbem Gniewu jest zamek. Zamek, którego dzieje są bardzo interesujące, który przeżył wiele wojennych wydarzeń, wiele „przebudów”, wiele klęsk wynikających też i z działalności ludzkiej. Nie wojennej, a pewnego zaniedbania i braku troski. Ale też fenomenem Gniewu jest to, że zamek ten, który przez lata trwał jako ruina po pożarze w 1921 roku, w latach 90. siłami mieszkańców miasta i gminy Gniew wrócony został do życia. I dzisiaj, jako dosyć ważny składnik życia turystycznego Pomorza, gości dziesiątki tysięcy widzów, uczestników imprez, przedsięwzięć, którzy mają tutaj okazję spotkać się z historią, odbyć podróż w przeszłość, ale jednocześnie spędzić godzinie czas w odrestaurowanych wnętrzach, pełniących dzisiaj funkcję ewidentnie turystyczną, czyli w naszych hotelikach, restauracjach...

Mamy też do dyspozycji trwałą przestrzeń do realizacji spektakli i widowisk historycznych przez cały rok. Oczywiście największe natężenie tych działań jest w okresie letnim, wakacyjnym, ale kiedy już ściska nas mróz, to we wnętrzach zamku toczą się dalej lekcje żywej historii, czy duże projekty edukacyjne łączące współczesną technikę w najnowszym ujęciu, czyli komputery i lasery – z historią, z orężem Polski, z chlubą polskiego oręża nade wszystko, czyli z polską husarią, która tutaj na zamku od ośmiu lat stoi w postaci chorągwi husarskiej Mieczysława Struka, marszałka województwa pomorskiego, i mam przyjemność jako porucznik przewodzić jej w polu i w życiu codziennym.

Zatem Gniew stanowi naprawdę wyjątkowe zjawisko. Myślę że można go porównywać nawet do takich wybitnych miejsc historyczno-turystycznych w Europie, jak francuski Carcassonne czy Rottenburg w Niemczech. Na pewno jest to cel, do którego dążymy, a potencjał Gniewu jest bez wątpienia porównywalny do potencjału tych miejsc. Pomijając oczywiście skalę wielkości.

Gniew jest też bardzo poważnym ośrodkiem rekonstrukcji historycznej. Te mury przed ponad 20. laty, nie tylko w wymiarze materialnym, ale i duchowym, zostały ożywione przez rzeszę gniewian. Młodych gniewian przede wszystkim, dzisiaj już trochę dojrzałych wiekiem, tworzących grupy rekonstrukcji – Chorągiew Husarską i Żółty Regiment Piechoty. Do tego bardzo profesjonalna już grupa uczestników światowych turniejów zgromadzonych >>

fenomen Gniewu
rozmowa TR
z Jarosławem Struczyńskim



STAY TRUE OR DIE

w lidze turniejowej, w której turnieje rozgrywane są oczywiście poza Gniewem. I w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, i w Nowej Zelandii, i w Australii. Rycerze Gniewu, bo tak zwie się ta grupa, to jedna z bardziej prestiżowych, profesjonalnych grup, oczywiście nie w sensie traktowania tego jako zawodu, tylko w sensie poziomu, który osiągnęliśmy na arenie międzynarodowej.

Ale to jest zasługa również tego miejsca. Dlatego, że to ono ukształtowało w dużej mierze umysły tych ludzi. To jest również zasługa niebywałych talentów gniewskich rzemieślników. Z grupy dwóch i pół tysiąca bezrobotnych udało się wyłuskać kilku ludzi naprawdę z talentem, nasz główny płatnerz, pan Maciej Kotlarz, który tutaj na zamku kuje zbroje, jest w tej chwili jednym z najwybitniejszych płatnerzy w skali europejskiej. Jego zbroje są używane po całym świecie. A to, że zwrócił się do niego dwór królewski Danii z propozycją objęcia patronatu nad tego typu działaniami tam właśnie, w Danii, świadczy o tym, że marka gniewskiego płatnerza sięgnęła już naprawdę szczytów.

Oczywiście Gniew to nie tylko wojowanie. Jednym z pierwszych twórców, który trwa nieustannie tutaj od ponad 20. lat jest również chór gregoriański Schola Cantorum Gymevensis. Chór założyliśmy w 1991 roku, w styczniu. Zjawiskowość tego polega na tym, iż trudno znaleźć w tak małym środowisku nagle kilkunastu miłośników chorału gregoriańskiego, który tak naprawdę już prawie przestał istnieć w liturgii Kościoła. Jest to chór amatorski, ale przebył niebywałą drogę. Od śpiewania w ruinach zamku, poprzez koncerty we Francji, Niemczech, Portugalii; nagrał kilka płyt; stanowi w tej chwili dla znawców muzyki jeden z lepszych przykładów interpretacji chorału gregoriańskiego, nie w wykonaniu zawodowych muzyków, którymi przecież nigdy mnisi nie byli. Konwent danego klasztoru to byli ludzie różni, a śpiewać liturgię musieli wszyscy. W związku z tym jesteśmy uznawani – poprzez te nasze błędy, niedociągnięcia, brak wykwalifikowanego głosu – za bardzo wiarygodny sposób wykonywania chorału i to nas bardzo cieszy.

Myślę, że z tych różnych względów zamek w Gniewie jest wyjątkowy. Do 2010 roku był własnością gminy. W tej chwili jest to już obiekt prywatny, na skutek niemożności otrzymania środków z funduszy regionalnych na realizację planu rewitalizacji. Nasz samorząd wojewódzki ustalił tak regulamin dofinansowania planów rewitalizacji, że mogło ono dotyczyć tylko miast powyżej 35 tys. mieszkańców albo poniżej pięciu. W związku z tym Gniew z 7,5 tys. mieszkańców nie załapał się na to dofinansowanie. I decyzją samorządu, również społeczności zamkowej, w tym wypadku decyzją moją, osoby, która była wtedy odpowiedzialna za funkcjonowanie zamku w Gniewie pod egidą fundacji komunalnej, zaczęliśmy szukać inwestora zewnętrznego, no i tak się stało, że 15 lipca 2010 roku, czyli 600 lat po bitwie pod Grunwaldem prawo dysponowania nieruchomością otrzymała grupa Polmlek, polska firma mleczarska.

Jak to się dzieje: jest ruina zamku i miasto z wysokim bezrobociem i nagle tworzyć coś takiego?

Trochę o tym początku mnie osobiście trudno mówić, dlatego że chciałbym zachować pokorę, ale muszę w tym momencie zrzucić część winy na siebie. Urodziłem się w Gniewie. Miałem to szczęście, że miałem starszego brata, > >



który studiował historię, i on uzmysłowił mi istnienie perspektywy historycznej. I to zainteresowanie historią zaowocowało decyzją, którą podjąłem w wieku 6 lat, a którą ogłosiłem rodzicom i rodzeństwu, że odbuduję zamek w Gniewie. Oni oczywiście to potraktowali z wielką wesołością. Ale stało się tak, że po niecałych 20 latach do tego pomysłu wróciłem, co było związane z rozpoczęciem przeze mnie misji kierowania domem kultury w Gniewie. Z wykształcenia jestem inżynierem mechanikiem, specjalistą od spawania pod wodą. Natomiast gdzieś ta pasja do historii, do kultury, do turystyki była tak głęboka, że postanowiłem w pewnym momencie przerwać działalność fachową i zostając dyrektorem domu kultury w konkursie, zwróciłem uwagę ówczesnym rajcom miejskim, że jednak trzeba zająć się ruiną zamku w Gniewie (mówię o runie, nie o tym tworze, który dzisiaj oglądamy), dlatego że niesie ona w sobie tak ogromny potencjał, że nawet jej udostępnienie w formie ruiny, w której trwała przez ponad 70 lat, da szansę na stworzenie nowych atrakcji i kulturalnych i turystycznych.

Co mógłby Pan powiedzieć miastom, które jeszcze „nie wystartowały”?

Skupić się na tym, żeby najpierw odnaleźć potencjał wewnętrzny, lokalny. Bo jest to reguła naprawdę potwierdzająca się w wielu przypadkach – ludzi z pasją, z pomysłami można znaleźć u siebie. Jeżeli te pomysły wymagają jakiegoś wsparcia merytorycznego, wtedy dopiero posłużyć się pomocą z zewnątrz, która może być bardzo skuteczna, na przykład w pozyskaniu wsparcia finansowego, żeby zrealizować pomysły. Ale myślę, że w każdej wsi, w każdym małym miasteczku jest ktoś, przez boga namaszczonego, kto niesie ze sobą jakąś misję do wypełnienia, tylko trzeba po prostu go odnaleźć.

Ja w swoim życiu zawodowym i hobbystycznym miałem do czynienia z bardzo wieloma sojusznikami, tutaj w Gniewie. To był też ewenement tego miejsca. I władze samorządowe i społeczność lokalna, która była zresztą bardzo mocno zaangażowana poprzez udział w robotach publicznych. To spowodowało, że nasi mieszkańcy poczuli, że to jest kawałek ich dziedzictwa. Ale myślę, że każda miejscowość ma swoją specyfikę i może znaleźć swój patent na zbudowanie czegoś wartościowego i trwałego.

A jak wygląda relacja zamku i okolicy? Czy to się na coś przekłada? Na małe bezrobocie, albo dużą aktywność ludzi twórczych?

Trzeba patrzeć na razie z pewnej perspektywy. Przemysł turystyczny jest w tej chwili trzecią branżą na świecie. On pewnie trochę ucierpi na skutek globalnego kryzysu, na skutek też i pewnego napięcia, które kryzys ten może wywołać. Ale jeżeli ten przemysł turystyczny będzie traktowany tutaj jako podstawa bytu gospodarczego, to jest to jak najbardziej racjonalne. Mamy oczywiście w Gniewie przemysł, dosyć istotny. Mamy tutaj siedzibę firmy Rolls Royce, branży morskiej co prawda, tak że samochodów nie produkujemy, salonu też nie ma, ale jest to bardzo wysoka technologia przemysłu stocznioowego, morskiego. Mamy przemysł elektroniczny, mamy przemysł budowlany. >>



Ale mamy też ten atut, o którym dzisiaj rozmawiamy, czyli historię, mamy niesamowite walory przyrodnicze. Gniew przez lata odwracał się od Wisły. Zresztą cała Rzeczpospolita się od Wisły odwróciła. Mamy dzięki temu piękną i dziką rzekę, co też jest atutem. Mamy Naturę 2000, co w wielu wypadkach utrudnia życie niektórym inwestycjom. Natomiast branża turystyczna jest perspektywiczna – jest pewien wskaźnik mówiący o tym, że każde miejsce pracy w branży turystycznej, na przykład w obsłudze hotelu, gastronomii – tak naprawdę generuje do 10 następnych miejsc w innych dziedzinach, które obsługują tę turystykę. Czyli historia, natura, kapitał ludzki.

Jakie ma znaczenie dla Pana, że Gniew jest nad Wisłą?

Znaczenie położenia Gniewu to jest znowu perspektywa historyczna. Gniew nie uzyskałby kiedyś tej potęgi gospodarczej, ekonomicznej, gdyby nie był związany z Wisłą. Oczywiście podstawę tego stanowi działalność zakonu krzyżackiego, a Krzyżacy potrafili wykorzystać istnienie rzeki. Gniew był u szczytu swej potęgi gospodarczej w XVII wieku. Wtedy, kiedy u szczytu potęgi był też Gdańsk, czyli związane to było z Wisłą jako ze szlakiem handlowym. Spichlerze, dwa porty, które tutaj obsługiwały całą infrastrukturę handlową. Bogactwo mieszczańskie gniewskich było niebywałe. Badania archeologiczne w kościele św. Michała potwierdziły, że Gniewianie w XVII wieku byli zdrowsi, wyżsi, lepiej odziani. Bogatsi w grobach nawet byli.

Później, odwrót Gniewu od Wisły i to odwrót tak mocny, że Wisła gdzieś nawet w wymiarze turystycznym przestała być obecna. Ale to się też zmieniło w ubiegłym roku, kiedy decyzją gniewskich właścicieli zamku dokonaliśmy oczyszczania starorzecza Wierzycy, uruchomienia pierwszej przystani i regularnej, oczywiście w niewielkim wymiarze, żeglugi turystycznej w oparciu o gondole, o katamarany, w oparciu o możliwość cumowania mniejszych jednostek.

Myślę że rozwiązaniem problemów technicznych byłaby bez wątpienia realizacja pętli żuławskiej. Niestety są poważne opóźnienia i pewne ograniczenia, których być może się nie uda pokonać. Ale myślę że warto w tym kierunku pójść. Sprawa jest dla mnie tak oczywista, że ilekroć mam do czynienia z gośćmi, którymi opiekuje się jako kasztelan gniewski – zaciągam ich nad Wisłę. Pokazuje im Gniew od strony Wisły. Po pierwsze, dlatego że panorama ta jest wspaniała i niedoceniona. Bo tylko Ci, którzy płyną Wisłą, mogą to ujrzeć. A druga sprawa – rzeczywistość świadomość tego, że Wisła jest cudowna. Że Wisła przez tę swoją dzicz, przez to, że nie jest wrzucona w betonowe koryto, jest zjawiskiem niewyobrażalnym. Do tego oczywiście jest przestrzenią życia dla zwierząt, siedlisk ptaków, rezerwatów florystycznych, rezerwatów ptaków.

Jakie jest teraz Pana marzenie w życiu, co by Pan chciał zmienić?

Gdybyśmy marzenie to mieli odnieść tylko do chwili obecnej, to chciałbym wypocząć. Dlatego że wysiłek, który się wkłada w organizację tych przedsięwzięć, jest ogromny. Ale oczywiście wypoczynek to jest kwestia kilku czy kilkunastu dni. > >



Natomiast moim marzeniem jest to, żeby wrócił do świadomości gniewian fakt, że oni dalej są współtwórcami potęgi gospodarczej czy turystycznej Gniewu. Gniewianie gdzieś na skutek tego wielkiego sukcesu, który został wykreowany tutaj przez nich, również popadli w pewien letarg. Nie widzą, że nie można oczekiwać tylko i wyłącznie inwestycji od prywatnych inwestorów, ale trzeba się włączyć aktywnie w tworzenie tego wizerunku turystycznego i historycznego miasta. Oczywiście pewnie można by powiedzieć znowu, że to jest nasza wina, że tych gniewian dalej nie mobilizujemy. I pewnie gdzieś tam w części do tej winy możemy się przyznać. W związku z tym też i myślimy o tym, żeby przywrócić tego ducha pierwotnego zaangażowania ludzi poprzez przede wszystkim skuteczną edukację młodzieży. Być może to pokolenie starsze jest już stracone, ale trzeba patrzeć też na młodych. Jeżeli nad nimi się znowu pochylimy, to myślę, że to przyniesie efekt spełnienia tego marzenia, że gniewianie znowu będą dumni z tego, że są współtwórcami sukcesu turystycznego i kulturalnego swojej małej ojczyzny.

Co dalej?

Nie wiem. Dalej może rekonstrukcja lotów w kosmos z lat 60...

Jarosław Struczyński – kasztelan Zamku Gniew, porucznik Chorągwi Husarskiej marszałka województwa pomorskiego, odtwórca roli Wielkiego Mistrza Ulricha von Jungingena w inscenizacji grunwaldzkiej, były dyrektor domu kultury w Gniewie.



Co się tutaj dzieje?

Wykopaliska robimy od trzech lat. Co roku pięciu archeologów przyjeżdża i kopią. Kopiemy dlatego, że chcemy kontynuować prace, czyli wytyczyć na nowo chodniki, wymienić posadzki w kościele, zrobić ogrzewanie. Żeby nie zniszczyć tych obiektów, chcemy być pewni, co tam jest. Im dłużej kopiemy, tym więcej mamy pytań. Jeżeli, na przykład, zajrzycie w przewodniki, to przewodniki już nie nadążają. Tutaj pierwsza świątynia była w tym rejonie, gdzie jest skrzyżowanie ze świątłami. Tam jest teraz taka kapliczka między tymi świątłami, jest tam cmentarz. I tam był kościół św. Jerzego. Miasto przesunęło się później w stronę rzeki, wydawało się, że wówczas funkcjonował już tylko ten kościół krzyżacki. Że on już od prezbiterium był budowany w tym miejscu, gdzie teraz jest. Okazało się przy pierwszych wykopaliskach, że nie, bo na przykład mamy tu część pochówków, na przykład jak już są fundamenty, to z fundamentów nogi wystają jakimś człowiekowi... Okazało się, że tu była kaplica cmentarna...

Taka ciekawostka: archeolodzy kopią zawsze do takiego miejsca, gdzie ziemia jest już nieruszona. I pod tą kryptą pod posadzką był dwie wazy. Przykryte talerzykami, wszyscy się zastanawiali, co tam jest. Okazało się, że tam było jedzenie. Bardzo taki pogański zwyczaj, bo to jest z XVII wieku, w centrum kościoła... Tutaj była kolejna krypta, ona tutaj im się zawaliła, to nas najpierw zmyliło. Bo zachowała się wentylacja, a nie było krypty. I nie wiedzieliśmy, co jest grane. Tu był jeden z bogatszych pochówków, między innymi dzieci z takimi sztucznymi kwiatkami, miały trumny z szybkami... Wiadomo, archeolodzy, badania, idzie się potem do antropologa. Antropolog bada te szczątki. Na przykład się okazało, że u nas w Gniewie w porównaniu z Bydgoszczą, z Pieniężkowem, z Grucznem, tutaj okolicami w miarę bliskimi, młodzież 11-15 lat szybciej rosła niż mieszkańcy tamtych miejscowości. Lepsze jedzenie, bogate miasto...

Teraz jesteście na ulicy, która się nazywa ulicą Sambora. Mieszkańcy, (ja tutaj jestem od 6 lat, czyli trochę napływowy), ale mieszkańcy mówią, że to jest najładniejsza uliczka. Szczere mówiąc, nie wiem do końca, bo tu jest tak dużo ulic, ładnych, że naprawdę trudno coś wybrać. Dwa lata temu, znaczy wcześniej to wymyśliliśmy, ale od dwóch lat, od 1 lipca 2010 jest tu miś Maciuś. Jest wykonany z brązu, ma 70 cm, normalnie ma taką zbroję, a teraz jest przebrany. Jest przebierany co miesiąc, stroje się nigdy nie powtarzają. Na przykład był Elvisem Presleyem, nauczycielem, krzyżakiem, szlachcicem, Kaszubem, kominiarzem, strażakiem i tak dalej. We wrześniu będzie na przykład murarzem. Głowę ma normalnego rozmiaru, czyli na przykład jak jest strażakiem, to nie musimy robić oddzielnego hełmu.

Skąd się wziął Miś Maciuś?

1626, Gniew przez rok był zajęty przez Szwedów. Dopiero hetman Koniecpolski wyzwolił Gniew, a cała wojna skończyła się w 1629 roku pokojem gdzieś tam pod Sztumem. To jest wydarzenie historyczne, ale nam >>

robić swoje
rozmowa TR
ze Zbigniewem Rutkowskim



chodziło o to, żeby wymyślić taką legendę, która to upamiętni, ale też pozwoli opowiadać, utrwać nazwiska, datę na przykład. I dlatego wymyśliliśmy misia. No i legenda mówi, że jak wszyscy się zaangażowali w tę wojnę, zostawili swoje rzemiosło, swoje domy i poszli tam na pola, a dzwony kościoła wzywały na msze świętą, to nikt nie przyszedł tylko zwierzęta wypłoszone hukami armat przyszły i się modliły o pokój, modliły się za ludzi.

Miś jest własnością parafii. Można by nagrać oddzielny film na temat Rzeczypospolitej urzędniczej. Na przykład, wyobraźcie sobie, że miś Maciuś stoi nielegalnie. Nie ma pozwolenia, bo mimo, że myśmy składali wniosek o pozwolenie na małą architekturę, to oni chcieli pozwolenie na budowę. Nikt nie wiedział, jak się buduje misia, ale miś nie ma pozwolenia... Ja nie chcę załatwiać tego po znajomości, tak. Bo ja chcę żyć w kraju logicznym.

Tu był płot, wyglądało to nieciekawie. Teraz jest fajna, otwarta przestrzeń. Chodziło mi o to, żeby ściągnąć ludzi na tę piękną uliczkę. Tutaj naprawdę nikogo nie było. Ja przyjechałem 6 lat temu, mieszkam tam w tym domku – pierwszego człowieka spotkałem po 3 dniach. A w tym roku, 2012, w ciągu majowego weekendu mieliśmy więcej turystów niż przez cały rok 2011. Między innymi, dzięki działalności zamku.

Dlaczego to się udaje?

Największym przywilejem bycia księdzem jest to, że się poznaje fajnych ludzi. I to dużo ludzi. I to jest fajna taka przygoda – spotkanie ludzi, którzy gdzieś tam się zapalają. To nie jest problem pieniędzy. To jest problem dwóch rzeczy. I te dwie rzeczy są w stanie zmieniać ten kraj: wyobraźnia i wiedza. Poza tym zawsze świat zmieniają szaleńcy.

A jakaś rada dla innych miast?

Jeżeli cokolwiek dobrze się dzieje, to nie dlatego, że mamy dobrze poukładane państwo, tylko dlatego, że mamy zaradnych obywateli. Na patriotyzm składa się bardzo wiele elementów, czyli umiłowanie języka, kultury, ludzi, ojczyzny, kraju, historii i tak dalej. I jednym z nich jest państwo jako administracja. I to państwo jako administracja – ja z tego nie kumam nic. To jest tak chore i zżerające się, że tego zrozumieć nie da się za Chiny. I to jest smutne.

Robić swoje i dać se spokój z państwem.

Zbigniew Rutkowski, od 2007 roku – proboszcz parafii św. Mikołaja w Gniewie. Urodził się w 1965 roku w Tczewie. Tam też kształcił się w Liceum Ogólnokształcącym im. Marii Skłodowskiej-Curie. Następnie wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie. W latach 1994-2000 studiował i pracował we Francji. Od 2000 roku był wicedyrektorem Wyższego Seminarium Duchownego we Pelplinie, wykładowcą pedagogiki i katechetyki.







NOWE

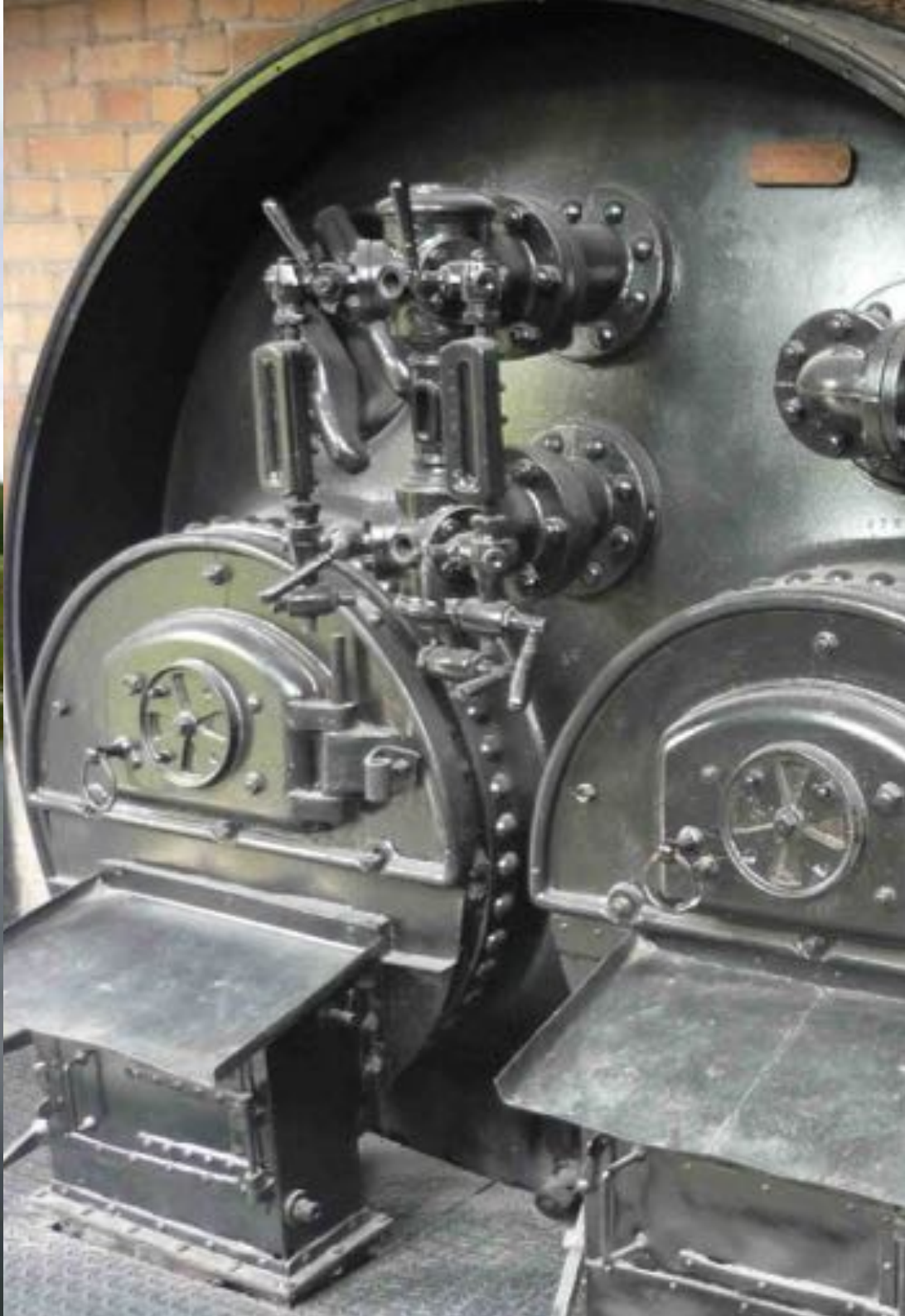
Nowe znajdziemy na trasie „Gotyk na dotyk”, jednak wzniesiony tu przez Krzyżaków zamek nie miał szczęścia; zniszczony podczas potopu szwedzkiego, częściowo rozebrany służył za zbór ewangelicki, magazyn, a wreszcie remizę. To, co zostało, z nowocześniejszym wnętrzem przerobiono w końcu na centrum kultury.

W mieście, nieco ospałym i tradycyjnym, jest dużo interesujących zabytków, głównie gotyckich, nas jednak z naszym zamiłowaniem do wody i industrialu najbardziej pociąga przepompownia w Kończycach. Wzniesiona w roku 1909, aby uchronić okoliczne pola przed wylewaniem wpadającej do Wisły Mąrawy, pracowała około stu lat. Zużywająca niemal tonę węgla na godzinę, ustąpiła w końcu miejsca nowej, wydajniejszej, teraz zaś, starannie wyremontowana, jest lokalną atrakcją turystyczną.

Oprowadza nas po niej miejscowy historyk, a zarazem zastępca burmistrza Zbigniew Lorkowski, z asystą żony – nauczycielki, działającej w miejscowym stowarzyszeniu na rzecz rozwoju rekreacji i kultury – i małego synka. Dowiadujemy się od nich, że w Nowem jest silna sekcja paralotniarska, a nawet lotnisko, nazywane żartobliwie Okęciem.

Spotykamy się także z Michałem Śliwą, pracującym w centrum kultury historykiem-amatorem. Wąsaty i jowialny, pokazuje nam zabytkowe kościoły i wnętrze pechowego zamku, mieszczące między innymi interesujący zbiór narzędzi związanych z bogatą tu tradycją stolarską. Przemysł meblarski do dziś jest źródłem utrzymania wielu nowian.

Podczas gdy my podziwiamy panoramę Wisły z jednego z istniejących tu punktów widokowych, Pasożyt ze swoją ofertą pomocy puka do domu znajdującego się najbliżej miejsca postoju naszego statku. Z początku zostaje skierowany przez nieco skonfundowanych gospodarzy do rąbania drewna, gdy jednak zapoznają się z jego ulotką prezentującą pomocowe umiejętności, proszą o namalowanie pejzażu. Farbami akrylowymi kupionymi w papierniku przy rynku, na podobrazii z Marylin Monroe ze sklepu „wszystko za 5 złotych”, Pasożyt maluje widok z czerwonym dachem domu pracodawców, a wraz z nim za malowanie biorą się okoliczne dzieci. Misja „Nowe” zakończona.





Gdzie jesteśmy?

Znajdujemy się w pompowni Kończycy, jest to zabytek hydrotechniczny z początku XX w., ale działania hydrotechniczne na tych terenach sięgają już średniowiecza. Kroniki krzyżackie mówią o tym, że w średniowieczu na terenie Niziny Sartowicko-Nowskiej, znajdowały się pierwsze wały, które chroniły ten teren przed skutkami zalań Wisły. Tych powodzi było co najmniej kilkanaście w ciągu każdego wieku. Zintensyfikowane działania melioracyjne związane były z osadnictwem olendersko-mennonickim na tych obszarach, które rozpoczęło się około XVI w. Gminy tych osadników, tradycyjnie związanych z wodą, tworzyły większe związki, które zasiedlały te tereny, sypały wały, budowały groble oraz odpowiednie urządzenia melioracyjne. Jedną z największych powodzi, jakie dosięgły te tereny, to była powódź z 1855 roku, była tak gwałtowna, że domy z tego terenu znalazły się aż pod Tczewem, czyli ok. 50 km stąd. Król pruski stwierdził, że należy zakończyć tę sytuację ciągłych katastrof i utworzył przymusowy związek wałowy. Jego działania zintensyfikowały się w drugiej połowie XIX w, kiedy to usypano wały, podniesiono je, uregulowano rzekę Mątawę, zakupiono różnego typu urządzenia melioracyjne, bagier, który bagrował rzekę. W wale wstawiono także pierwsze drewniane drzwi, które odgradzały ten teren od rzeki Wisły. Jednak był pewien problem – kiedy zamykano drewniane wrota, napływająca rzeka Mątawa rozlewała się przy wałach, powodując zabagnienie tego terenu. Rolnicy stwierdzili, że trzeba temu jakoś zaradzić i zakupili pierwszą prowizoryczną pompę pod koniec XIX w. Efekty pompowania były bardzo korzystne, z tego względu, że gdy na innych terenach rolnicy nie mogli jeszcze wejść na pola, to tu osuszano na tyle skutecznie tereny, że już w marcu mogli zacząć zasiewy. Skuteczne działania pomp doprowadziły do tego, że postanowiono zbudować budynek pompowni. Jest on złożony z dwóch części. Pierwsza, niższa, związana jest z halą pomp. Natomiast, wyższa, z kominem, jest to hala kotłowa. Teren, na którym się znajdujemy, jest przygotowany do ruchu turystycznego, wyłączony jest całkowicie z możliwości pracy, ponieważ kanał, który łączył wcześniej budynek z rzeką Mątawą, został zasypany, a w jego miejsce wybudowany nowy, prowadzący do pompowni, która przejęła funkcje starej. Znajduje się ona również w Kończycach, działa na podobnych zasadach, jednak jest już zupełnie nową pompownią.

Co Pan najbardziej lubi w Nowem?

Najbardziej lubię ludzi. Ich związek z lokalną historią. Lubię ciekawostki związane z tymi miejscami. Być może też dlatego, że moja rodzina jest związana z tym miejscem od 120 lat. Lubię ludzi aktywnych, którzy chcą działać na rzecz miasta poprzez imprezy integracyjne, poprzez kreację nowych stowarzyszeń, pokazywania tego, co jest dobre i wykorzystywania infrastruktury, która w tym miejscu jest. >>

stare i Nowe
rozmowa TR
ze Zbigniewem
Lorkowskim, zastępcą
burmistrza Nowego
i Katarzyną Lorkowską,
nauczycielką



Mamy kilka imprez cyklicznych. Oprócz standardowych Dni Miasta, mamy Spotkania Śliwkowe. Są one organizowane we wrześniu. Jest to wspólna impreza Przedsiębiorstwa Usług Miejskich, Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska oraz Nadwiślańskiego Stowarzyszenia Aktywni i Gminy Nowe, która promuje lokalnych twórców, wyroby, ekologiczną żywność, czyli wszystko to, co nasza ziemia nowska może nam dać. I oczywiście koncerty.

A żeński punkt widzenia? Co Pani jako osoba napływowa lubi w Nowem?

Jest tutaj stowarzyszenie, które bardzo prężnie działa i którego jestem współorganizatorką. Zostało założone sześć, siedem lat temu, cały czas się rozwija. Dzięki niemu powstają tu różne imprezy, m.in. dzięki naszej inicjatywie od czterech lat mamy koncerty muzyki w kościele, to są zawsze trzy koncerty w czerwcu, lipcu i sierpniu. I wspomniane Spotkania Śliwkowe, które z roku na rok się rozrastają, jest coraz więcej wystawców. Można, oprócz tradycyjnych powideł śliwkowych, których poza województwem kujawsko-pomorskim nigdzie spotkać nie można, spróbować też innych regionalnych dań.

OSTRÓW ŚWIECKI
u Haliny i Stanisława Rączki



GRUDZIĄDZ







Jesteśmy na Kociewiu...

To jest takie odkrywane Kociewie, tutaj ziemie zamieszkane były przez menonitów. Oni mieszkali tutaj bardzo długo u nas. To są Holendrzy, którzy z tą wiarą właśnie, tutaj przybyli. Później Niemcy, a po wojnie ludność z lubelskiego, ze wschodu. Więc o tym Kociewiu nikt tak dużo nie mówił...

Mamy rok obrzędowy zaplanowany i przez ten rok obrzędowy dzieci poznają tradycje Kociewia. Zaczynamy od święta pieczonego ziemniaka, gdzie pieczemy w polu ziemniaki i bawimy się, wybieramy Królową Bulwę i Króla Ziemniaka. Później mamy tradycyjne Wszystkich Świętych. Tutaj mamy cmentarz menonicki. Opiekujemy się grobami. Później mamy Andrzejkę, Mikołajki. Robimy również Jasełka, na które zapraszamy mieszkańców wsi. Później jest nasza Wigilia szkolna. Też staramy się ją robić po kociewsku troszeczkę. I z dziećmi chodzimy po wsi. Mamy rekwizyty, z którymi wędrują kolędnicy. Jest to ewenement, dlatego że tutaj już na wsiach nie chodzą kolędnicy. Potem w naszym roku obrzędowym jest Wielkanoc i tutaj robimy przedstawienie „Kogucik”, na które również zapraszamy mieszkańców. Wędrujemy, jest to barwny korowód, z palmami, w strojach kociewskich, takich inspirowanych. No i następne jest Noc świętojańska, na którą zapraszamy również rodziców i mieszkańców. Łączy się to z puszczaniem wianków na wodę, z ogniskiem, z szukaniem kwiatu paproci. I dzieci jeszcze mają nockę w szkole, tak że bardzo to lubią. No i dożynki, święto plonów.

Dzieci poznają tradycję i obrzędy nie w taki sposób, że siedzą w ławkach i im się o tym mówi, tylko one same pokazują i uczestniczą. W związku z tym piszę teraz pracę magisterską o kultywowaniu tradycji i obrzędów kociewskich i właśnie dzieciaki same mówią, że jest to fajne, bo wszyscy razem, nawet ktoś, kto się wstydzi, chętnie bierze w tym udział. Tak że nasza szkoła mocno stawia na edukację regionalną, tym bardziej, że, jak mówię, okolica zapomniała o Kociewiu i nigdy o tym nie mówiła i nie kultywowała. My próbujemy z dziećmi też gwara kociewską rozumieć, tutaj mamy słownik. Dzieci same tworzą rysunki, takie wyrazy najbardziej znane. Gwara kociewska jest trochę z niemieckiego języka, a trochę z kaszubskiego, bo jesteśmy sąsiadami. Ale jednakże niektóre rzeczy są trudne. I próbujemy też powypisywać w izbie regionalnej różne rzeczy, pokazać jak się nazywają.

Teraz w szkole jest remont...

Klasa zerówki jest odnawiana, myślałam, że zrobimy tam jakieś bajkowe postaci. Jednakże artyści stwierdzili, że piękne są wzory Kociewia i wycinanki i postanowili wykonać wycinankę i hafty kociewskie. I widzę, że pięknie wyszły na ścianie, i wcale nie musiały być to postaci bajkowe, tylko Kociewie. A mnie to bardzo cieszy, bo dzieciaki będą mogły naprawdę, autentycznie oglądać je, niekoniecznie na obrazku i niekoniecznie w izbie regionalnej.

**odkrywanie
Kociewia**
rozmowa TR
z Agatą Fokt-Bardzel
dyrektorką Szkoły Filialnej
w Bratwinie, gmina Dragacz











Co można opowiedzieć o Wiśle i o Tczewie?

Zanim miasto się rozwinęło, było otoczone wianuszkami malutkich wiosek. Jedną z nich było Czyżykowo, które teraz już jest dzielnicą Tczewa. I Czyżykowo bardzo dobrze prosperowało dzięki flisakom. Tam były sezonowe albo i stałe gospody, których reklamy były skierowane tylko na Wisłę, nie w stronę drogi. I flisacy płynąc zawsze cumowali w Czyżykowie, na co Tczewianie się bardzo denerwowali. Te gospody miały bardzo symboliczne nazwy, „Za ostatni grosz” albo „Jeden grosz”, podobnie jak dzisiaj mamy wysyp sklepów „Za dwa”, „Za pięć złotych”. Pewnie to świadczyło troszeczkę o asortymencie, ale jakoś potrafiło tego klienta skusić. No i korzystało sobie na tym Czyżykowo, które w momencie kiedy, w 1908 roku, zostało przyłączone do Tczewa, zostało dosyć mocno zdegradowane do takiej sypialni. Zostały wybudowane bloki. I miasto całe witalne soki z tego osiedla wysysało.

No ale najważniejsze: jeżeli Wisła i Tczew – to myślimy sobie o tym naszym ukochanym, zaniedbanym moście. Wielki pomnik historii, który już stoi tutaj ponad 150 lat. Przechodził różne koleje losu, nie złała go tak naprawdę wojna, chociaż fizycznie został pokaleczony. No ale złało go zaniedbanie i obojętność czynników administracyjnych od szczebla rządowego w dół. Nasz most jest mostem wybitnym, także pod tym względem, że jako jedyny należy do powiatu, czyli do jednostki samorządu, która z założenia swojego ma ograniczone cele działania. I przez to ma ograniczony budżet i ten most jest tak traktowany troszeczkę po macoszemu. Na szczęście ostatnimi czasy udało się zbudować wokół mostu wielki ferment społeczny. Most jest tematem wyborczym, tutaj nawet przyjeżdżał minister Nowak, obiecując poprawę tego naszego zabytku. Okazuje się, że decydenci jakby czują, że jest nośnym tematem i że coś trzeba robić. Na szczęście już jedna wieżyczka jest remontowana, może wkrótce trzy pozostałe... i powoli, małymi krokami, most wróci do czasów świetności. Oczywiście jest jeden z nim problem, tak jak Wisła jest rzeką w dużej mierze niewykorzystywaną ani gospodarczo ani turystycznie, tak samo ten most stracił swoje znaczenie jako przeprawa. Niedaleko mamy most w Knybawie, bardzo dobry most drogowy. Ten ma znaczenie tylko regionalne lub lokalne, łączy fragment Żuław z fragmentem Kociewia.

To co zrobić z takim mostem?

Powinien stanowić piękny przykład inżynierii technicznej. Powinien być takim znakiem turystycznym, ponieważ jego szczęście polega na tym, że znajduje się na turystycznej trasie Gdańsk – Malbork. Jest idealnym przystankiem. Kiedy będzie już zupełnie dostępny dla ludzi, będzie można zbudować punkt widokowy, z którego można obserwować zamek w Malborku z jednej strony, a z drugiej strony – morze. Ale to jest jeszcze daleka droga przed nami. >>



**most i smak
młodości**
rozmowa TR
z **Łukaszem Brządkowskim**



Bardzo ciekawie most był wykorzystywany także do działalności artystycznej. Jerzy Kalina, w 2000 roku, będąc tutaj podczas festiwalu Zdarzenia w Tczewie, stworzył widowisko „Most Fahrenheita”, most został podświetlony, zostały ustawione płonące beczki, różnego rodzaju fajerwerki. I rzeczywiście z bulwaru nadwiślańskiego wyglądało, jakby płonął.

Co to był za festiwal?

Festiwal Zdarzenia odbywał się przez 12 lat. Wielki, międzynarodowy festiwal. Co roku, w pierwszy weekend września, zjeżdżały się tutaj osoby z całego świata, które pokazywały sztukę w przestrzeni publicznej. Mamy tylko jedną salę widowiskową, ale sztuka wchodziła do różnych przestrzeni. Były wykorzystywane przestrzenie przemysłowe, wszędzie tam, gdzie można było pokazać jakiś spektakl. Tak że sztuka wychodziła bezpośrednio, wracała w codzienne życie ludzi. Artyści, jak pierwsi odkrywcy gdzieś na kontynentach, wchodziłi na zapomniane podwórka, montowali tam swoje instalacje artystyczne. Dzięki temu osoby, które myślały o swoim najbliższym otoczeniu jako o miejscu nieciekawym czy wręcz brzydkim, nabierały troszeczkę innego spojrzenia na miejsce codziennego życia. I okazywało się, że tam coś można zrobić. Artyści też bardzo to mile wspominali. Nagle wychodzili mieszkańcy, częstowali ciasteczkami, robili herbatę. Bo ktoś ich w końcu odwiedził, coś się stało i sztuka wyciągała ich z takiego marazmu.

Teren starego miasta to przez wieki było centrum miasta. Natomiast teraz centrum przeniosło się na Suchostrzygi, jest to dosyć nowoczesna dzielnica, która powstała na dobre w latach 80. I tam się praktycznie grupuje całe życie gospodarcze Tczewa. Tam są najlepsze sklepy, tam są wielkopowierzchniowe supermarkety. Cały napływ sił witalnych miasta został skierowany w inne miejsce. I dlatego na placu Hallera czy na historycznym rynku miejskim, który został wytyczony przez Krzyżaków na początku XIV wieku, mamy sklepy z używaną odzieżą, mamy sklep za dwa, za pięć złotych. Czyli gospodarczo centrum miasta dużo straciło. Natomiast festiwal Zdarzenia starał się przynajmniej raz do roku to miasto ożywić kulturalnie. Wychowaliśmy bardzo dużo młodych osób, które były wolontariuszami i oni się z tą sztuką oswoili. Teraz sami działają kulturalnie, sami działają społecznie w różnym wymiarze. Mamy trenerów tańca, mamy osoby, które znalazły pracę w Centrum Kultury i Sztuki.

W Gdańsku jest pełna baza kulturalna, można korzystać ze sztuki w każdym wymiarze. Tczew miał kompleks mniejszego, uboższego brata, z którego można do Gdańska w ciągu 30 minut dojechać i mieć tam wszystko. A tak naprawdę chodziło o to, żeby mieszkańcom, którzy nie są tak mobilni, pokazać, że sztuka może wkroczyć w ich codzienne życie. Że to nie jest nic strasznego, że to nie jest nic niezrozumiałego, tylko coś, co może równie dobrze poprawić wszystkim nastrój. > >

Festiwalu już nie ma?

Niestety po 12 latach festiwal Zdarzenia dożył swojego kresu. Przez wiele lat strasznie walczyliśmy z różnego rodzaju ograniczeniami. Mimo że miasto oferowało nam dosyć szeroką pomoc, w pewnych momentach budżet festiwalu, jeżeli go chcieliśmy robić na konkretnym poziomie, był coraz bardziej napięty, a trzeba przyznać, że nawet od ministerstwa zaczynając, kultura w mniejszych miejscowościach na pewno nie jest traktowana priorytetowo, mówiąc bardzo łagodnie. Mimo że festiwal Zdarzenia miał sprawdzoną markę, preferuje się kulturę, która odbywa się w dużych miejscowościach. Festiwal pierwotnie był stworzony po to, aby debiutanci z różnych szkół artystycznych mieli możliwość nieskrępowanego debiutu, pierwszej konfrontacji z publicznością, która nie jest naturalnym odbiorcą wrażeń teatralnych. Natomiast z czasem doszliśmy do przekonania, że taki duży festiwal – teatralny, sztuk plastycznych, instalacji – odgrywa bardzo dużą rolę społeczną. Że to jest także pokazanie, że można żyć troszeczkę inaczej. Że na te kilka chwil można zapomnieć o zwykłych, codziennych troskach, w które ludzie sami czasami się wpędzają. Że można ruszyć się od telewizora, wyjrzeć przez okno, ponieważ sztuka odbywa się tutaj pod naszymi drzwiami.

Teraz będzie pierwszy wrzesień bez festiwalu, na pewno ja i wiele osób będzie odczuwało pewną pustkę, bo zbliża się ten intensywny dotychczas weekend wrześniowy. Nie będzie za bardzo co robić, może będziemy wędrować i założymy koszulki Zdarzeń, żeby w mieście pokazać, że jest coś, za czym tęsknimy.

My nie możemy konkurować z Gdańskiem pod względem gospodarczym, pod względem turystycznym, pod względem atrakcyjności. Jeżeli możemy coś zaoferować dla okolicznych mieszkańców, a także dla osób, które chciałyby Tczew odwiedzić, to zdecydowanie jest to kultura. Zdarzeń może już nie ma, ale coś zostało, zostali ludzie, którzy tworzyli ten festiwal, została otwartość mieszkańców na tego typu działalność.

Ten rok nadchodzący jest rokiem kryzysowym, ale wydaje mi się, że to będzie też rok przełomowy pod tym względem, że ludzie docenią, co tak naprawdę stracili. Czegoś im będzie brakować. Może będzie to trochę inna wizja, może będzie inna formuła tego festiwalu, może to już nie będzie festiwal, natomiast jest dużo organizacji pozarządowych i ludzie, którzy, przy wspólnym działaniu, mogą coś osiągnąć. Zawsze musimy stawiać na ludzi, bo jeżeli człowiek czegoś się tak naprawdę w życiu nauczy i zobaczy, że ta jego praca ma sens, to będzie oddany różnym ideom, między innymi kulturze.

Słyszeliśmy coś o oranżadzie...

„Smak młodości”. Wpadliśmy na taki pomysł. W Tczewie kiedyś była wytwórnia oranżady. Tak jak pewnie w większości miast Polski. Tradycyjna, barwiąca język, słodka oranżada. Po różnych zawirowaniach > >

związanych – wiadomo – ze zmianą sytemu, te napoje troszeczkę odeszły w zapomnienie. Natomiast my odnaleźliśmy starą, tczewską etykietę i, jak zaczęliśmy rozmawiać o oranżadzie, zobaczyliśmy, jaki duży ładunek emocjonalny jest związany z tym napojem. Postanowiliśmy go odtworzyć. Oranżada miała swoją premierę podczas Pchlego Targu, takiego wydarzenia lokalnego, na Rynku Starego Miasta. W czerwcu odbywa się tu jarmark staroci połączony z różnego rodzaju warsztatami, a także z niewielkimi koncertami muzycznymi.

Odtworzyliśmy etykietę zgodnie z tradycją. Butelka, kapsel, wszystko zostało zachowane. No i bardzo to jest ciekawe dla nas przeżycie. My się zajmujemy dużo historią miasta i w końcu znaleźliśmy sposób, żeby o historii nie tylko mówić, nie tylko ją pokazywać czy rysować, ale także historię można posmakować. Dzięki tej oranżadzie Wyborowej. Pomysły ludzkie są nieograniczone, jak się zbierze kilka osób, które mają chęć dokonywania zmian, to mogą to robić nawet w dosyć humorystyczny sposób.

Łukasz Brządkowski jest koordynatorem i redaktorem strony Dawny Tczew – Wirtualne Muzeum Miasta – projektu stowarzyszenia Ruch Inicjatyw Obywatelskich Tczewa

www.dawnytczew.pl

rozmawiał jżp









Gdzie się znajdujemy?

Znajdujemy się na północnym cyplu Wyspy Spichrzów, w zasadzie jest to centrum Gdańska. Zrobiłam tutaj film „Wyspa żab”, ponieważ brakuje mi w Gdańsku takich miejsc spotkań, miejsc parkowych i otwartych, i wyobrażałam sobie, że północny cypel Wyspy Spichrzów może być takim miejscem otwartym dla ludzi, w którym mogliby się spotykać, rozmawiać i które mogłoby połączyć wreszcie centrum miasta, ulicę Długą z drugą częścią miasta.

Dlaczego „Wyspa żab”?

Przechodząc tędy usłyszałam bardzo głośny rechot, zaciekawiło mnie to, zaczęłam ten teren sprawdzać i okazało się, że faktycznie, w podstawach spichlerzy, w takich stawikach z wodą mieszka bardzo dużo żab. Jest to punkt, o który od wielu lat wiele osób się wyklóca, są różne plany miasta związane z zagospodarowaniem Wyspy Spichrzów, ale w zasadzie nic tutaj się nie dzieje od czasu wojny. Natura miała szansę bujnie się rozwinąć i obecnie wyspę zasiedlają żaby. Podoba mi się wizja elementów naturalnych, zielonych, parkowych gdzieś w środku miasta i połączenia życia w mieście i kontaktu z naturą. Pomyślałam sobie, że to miejsce mogłoby taką wizję spełniać. Przy okazji realizacji filmu spotykałam różne osoby, które mieszkają w okolicach Wyspy Spichrzów. Rozmawiałam z mieszkańcami, z osobami, które tutaj prowadzą jakąś działalność artystyczną czy kulturalną. Mieszkają tutaj też bezdomni, nie udało mi się z nimi porozmawiać, ale mają bardzo ciekawie zagospodarowaną przestrzeń spichlerza, od lat tutaj rezydują, znaleźli tutaj swoje miejsce. Są np. też takie budki drewniane, gdzie ktoś regularnie przychodzi karmić koty. Widziałam tu kilka razy lisa. Podobno są też bobry...

Tutaj swoją działalność od 15 lat prowadzi Andrzej Dębiec, ma Klub Morza, który nazywa się Zejman, przychodzą już stali bywalcy do tego miejsca. Od 15 lat kolekcjonuje tu różne rzeczy. Jest to w taka perełka tutaj na wyspie. Sporo ludzi przychodzi do klubu i odkrywa go jak skarb w środku miasta. Swoją Galerię prowadzi też tu Marek Rogulus.

A co lubisz w Gdańsku?

Gdańsk jest jednym z nielicznych miast Polski, gdzie centrum miasta stanowiła kiedyś rzeka, więc wszystkie drogi prowadzą do rzeki. Z drugiej strony jest ona słabo zagospodarowana, tzn. słabo z myślą o ludziach, mieszkańcach. Brzeg rzeki wszędzie widzimy, ale jest słabo dostępny. Nie można tutaj podejść i dotknąć wody, nie można siedzieć nad rzeką i patrzeć na wodę, rozmawiać ze znajomymi wieczorem...

Gdańsk jest moim miastem, mam tutaj dużo przyjaciół. Czuję się tutaj bardzo dobrze ze względu na osobiste relacje, kontakty z ludźmi. Lubię też bardzo przestrzeń tego miasta, to że jest blisko morza, ma dużo rzek, jest blisko natury. Jest to element, który warto wykorzystać, a mam takie wrażenie, że tej natury jest coraz mniej >>

**wszystkie drogi
prowadzą do rzeki**
rozmowa TR
z Kamilą Chomicz

i będzie coraz mniej. Strategia miasta nie idzie w tę stronę, żeby wykorzystać elementy natury i ich bliskość, tylko, żeby oddalić się od niej i iść w stronę rozwoju komercyjnego, bogatego, turystycznego miasta. Ta wizja zupełnie mi nie pasuje. Stąd te pomysły na filmy, rozmowy, szukanie innych rozwiązań. Myślę, że pomysły, które padają w moich filmach, są nierealne, ale zawsze dobrze jest o tym porozmawiać, pokazać, że ktoś może myśleć inaczej o danym miejscu, że wcale nie chce mieć tutaj jakiegoś centrum komercyjnego i kolejnych apartamentowców, ale po prostu chce mieć miasto otwarte na ludzi i przestrzeń z widokiem na morze, rzekę, z kotami, żabami, lisem.

No właśnie, wydaje mi się, że miasta głównie dbają o rzeczy wizerunkowe, inwestycje itd. Owszem chcą zachęcić turystów, co jest fajne, bo tworzy koniunkturę dla miasta i miasto się robi bogatsze, ale gdzieś w tym wszystkim pominięci są mieszkańcy. Masz jakąś koncepcję, jak te rzeki i miejsca powinny się rozwijać, żeby był wilk syty i owca cała? Żeby mieszkańcy na tym nie tracili?

Myślę, że miasto tworzą ludzie, mieszkańcy, i fajnie o tym nie zapominać. Ciekawostką np. jest to, że trudno przejść o tej godzinie ulicą Długą, bo jest cała wypełniona turystami, ale już np. o godzinie 22.00 ta ulica jest pusta i też ciekawe jest to, że ruch odbywa się w obrębie tej ulicy i pobocznych, a w zasadzie cała reszta miasta jest pusta. Myślę, że w Gdańsku jest bardzo dużo ciekawych miejsc, osób, budynków, które są oddalone od centrum i niedostępne dla turystów. Nie podoba mi się taka wizja, że ktoś przyjeżdża do miasta i widzi to, co każdy, co jest w przewodniku, widzi Długą, bary, puby, to co jest w każdym innym mieście, ale nie dotyczy rzeczywistości tego miejsca. Nie spotyka się z mieszkańcami, którzy mieszkają poza centrum i nie widzi tego miasta takim, jakie ono jest.

Jest coraz więcej pomysłów artystycznych, jest dużo działań w tym kierunku robionych, festiwalu otwartych na przestrzeń miasta. Myślę, że współpraca różnych instytucji artystycznych, społecznych, rządowych, a przede wszystkim wspólna wizja miasta mogłaby pomóc w angażowaniu mieszkańców w różne działania kulturalne, turystyczne, prezentowanie miasta, w udział mieszkańców w życiu, żeby każdy miał równy dostęp do różnych miejsc, żeby nie dzielić miasta na teren zarezerwowany dla turystów i teren obok. Żeby to miasto było wspólne. Trudno mi się wypowiedzieć całościowo o tym, musiałaby być konkretna wizja tego, a ja nie mam. Trochę to jest jednak trudne...

Wracając jeszcze do miasta i filmów: wiadomo, że nie można zrealizować każdej wizji, każdego mieszkańca, ale sama rozmowa i konfrontacja różnych pomysłów jest wartością i fajnie, żeby były one pokazane, opublikowane. Żeby było gdzieś poczucie, że nie tylko jedna osoba decyduje o tym miejscu i ma wizję tego miasta, ale że jest to składowa wizja mieszkańców, albo przynajmniej jest rozmową, dyskusją, polem do dzielenia się > >

pomysłami. Jak rozmawiałam czy z wędkarzem czy z architektami, sporo osób miało pomysł na przestrzeń bardziej otwartą. Brakuje tego mieszkańcom, brakuje miejsca, gdzie mogą posiedzieć, pobyć razem czy wędkować, rozwijać swoje hobby, ale też być w mieście.

O czym jeszcze robisz filmy?

Tematy, które podejmuję, które siedzą w głowie, dotyczą tematu natury, powiązania człowieka z naturą i tego, jakie to powiązanie kiedyś było, a jakie jest teraz. Osobiście czerpię dużo energii do życia z natury, chociażby z różnych kształtów zwierząt, roślin, różnorodności natury; moje projekty się z tym wiążą. Teraz np. mam pomysł, nie wiem czy go zrealizuję, ale chciałabym zrobić film o symbolu drzewa, czym kiedyś było dla ludzi, co symbolizowało, a czym jest teraz. Myślałam sobie o tradycjach, które jeszcze są utrzymane, i o drzewach, które się „wygenerowały” w czasach obecnych, np. palma w Warszawie, która jest sztucznym wytworem, niesie ze sobą zupełnie inne znaczenie i jest zupełnie innym symbolem. Mam takie poczucie, że ludzie już też nie są jak drzewa, jak kiedyś. Nie są tak zakorzenieni i nie czerpią tak dużo z miejsca, w którym są, ale przemieszczają się z miejsca na miejsce i często identyfikują się z miejscem zupełnie innym. Jest to temat, który chciałabym rozwijać.

Robiłaś filmy o różnych rzekach na świecie, jak tam wygląda sytuacja?

Bardzo różnie. Robiłam film na Ukrainie, we Lwowie, tam sytuacja jest dość dramatyczna i myślę, że jest tam dużo ludzi myślących o rzece. Akurat to jest jeden absurd na drugim, co się dzieje z rzeką Półtew. Ale faktycznie tam chyba ludzie nie mają jeszcze takiej świadomości ekologicznej, za to dotyka ich dużo innych problemów i w zasadzie nie zastanawiają się nad obecnością natury w mieście, uważają, że to nie jest temat. Nie zgadzam się z tym. Mają duże problemy z wodą pitną, a w tym samym momencie zanieczyszczają źródła bardzo czystej wody, która płynie pod ich stopami. Ale mam wrażenie, że to nie jest jeszcze moment, żeby tam myśleć o naturze w mieście. Nie dla artystów i osób, z którymi pracowałam, zainteresowanych tematem, ale dla urzędników czy mieszkańców to temat nieważny.

A gdzie według Ciebie było najlepiej?

Są bardzo różne strategie życia i bycia z rzekami i przestrzenią natury w mieście. W Szwecji miałam wrażenie, że przykładają do tego dużo wagi, aż zanadto. Była historia wybudowania mostu pomiędzy Kalmarem i Olandią. Most, który w pewnym momencie się pojawił, bardzo zmienił rzeczywistość ludzi mieszkających na wyspie. To też jest ciekawe, że tam był bardzo duży napływ turystów, ale mieszkańcy się tego nie obawiali. Ludzie w Szwecji bardzo szanują naturę, nawet jeśli tam przyjeżdżają, nie eksploatują jej tak, nie niszczą, nie zanieczyszczają. Obserwują ptaki. To mi się bardzo podobało, że było tam czuć duży szacunek ludzi do natury. Mają też swoją wizję, jak zachowywać się w takich przestrzeniach naturalnych. > >



Podobała mi się też koncepcja, która w Wiedniu się narodziła, że specjalnie na potrzeby rekreacji została usypana wyspa w centrum miasta, żeby ludzie tam mogli przyjeżdżać, odpoczywać, jeździć na rolkach czy na rowerach. Pomysł w zasadzie tylko dla mieszkańców, żeby umilić im życie w mieście i trochę je zróżnicować. Byłam tam też na festiwalu muzycznym, to był duży komercyjny festiwal i było tam, dla mnie osobiście, trochę za dużo ludzi i hałasu. Ale zdaję sobie sprawę, że wiele osób to lubi i że było to robione z myślą o nich. Podoba mi się w tej koncepcji Festiwalu Dunaju i usypania wyspy to, że było to robione z myślą o mieszkańcach i bez szkody dla natury. Plan usypania tej wyspy, tego jak ona tam funkcjonuje, był przemyślany i nie szkodził. To akurat jest dobre rozwiązanie, podoba mi się. Niekoniecznie ten duży, komercyjny festiwal, bo jednak myślę, że jeżeli robi się rzeczy w przestrzeni naturalnej czy związanej z naturą, to fajnie, żeby one współgrały, inspirowały się, były bardziej wyciszone, albo przynajmniej nie zakłócały jakiegoś spokoju i rytmu.

Wiedeń był i dla mnie ciekawy z różnych względów. Potwornie bałam się tam jechać na festiwal. A potem stwierdziłam, że nie było tak źle. Widać było, że różne pokolenia są tam razem, wnuczka tańczy pod sceną razem z mamą i babcią, jest młodzież, ale są i bezdomni, że biedni ludzie też tam przychodzą. Stwierdziłam, że to ma funkcję społeczną, że oni nie czują się tacy wykluczeni. Druga rzecz, która mi się podobała, to że mnóstwo mocno starszych ludzi korzysta z tej wyspy, jeżdżą na rolkach, rowerach....

Było to faktycznie zrobione z myślą o mieszkańcach. Ja myśląc sobie o Gdańsku czy robiąc filmy chcę, żeby było słychać głosy ludzi z różnych pokoleń. Bardzo mi tego brakuje. Jeżeli wychodzę na miasto, wiem, że w pubach można spotkać dużo młodych osób. Ale wiem, rozmawiałam ze starszymi, że nie mają swojego miejsca spotkań, niekoniecznie tylko dla nich, ale po prostu miejsca, do którego mogą przychodzić i czuć się swobodnie. Myślę też, że starsze osoby są pamięcią historyczną miasta. Dla mnie to też jest jakiś projekt, żeby zbierać takie historie i tworzyć historię miasta przez ludzi. Oni znają i wiedzą takie rzeczy o tym mieście, o których my nie wiemy, i myślę, że fajnie budować tę pamięć miasta, która jest w ludziach, nie tylko w budynkach. Budynki mogą się kruszyć, zmieniać. Atmosferę, energię miasta tworzy energia ludzi, którzy mieszkali tu, mieszkają i będą mieszkać. Fajnie jest takie myśli gdzieś zbierać.

Kamila Chomicz jest artystką mieszkającą w Gdańsku. Studiowała biologię na UG i reżyserię na Akademii Filmu i Telewizji w Warszawie. Realizuje filmy, video, fotografuje.

rozmawiała kk









Jak długo jesteś tu, na Wyspie, w tej przestrzeni?

To był rok 1995, ja się znalazłem w tym spichlerzu naprzeciwko – znaczy, wynająłem go od skarbu państwa za symboliczną złotówkę. W owym czasie nikt nie chciał takiego zaszczurzonego obiektu. Miałem jedno piętro, w rezultacie cały budynek, przez dwa lata. Do 1997 roku, bo polityka miasta wstępnie nakazywała pozbywania się wszelkich podmiotów z tego terenu, po przejęciu działek od skarbu państwa. No i udało mi się tutaj przycupnąć. Współpracuję z Bałtyckim Bractwem Żeglarzy. Ta przestrzeń jest taka... jaka jest, czyli służy celom artystycznym i wystawowym. Policzmy, od roku 1997 jest już 15. rok w zasadzie, to w sumie 17 lat w tym miejscu.

Kiedyś rzeczywiście wyspa wyglądała inaczej. Przed wojną – wiadomo – stały spichlerze. Mój dziadek, który był kapitanem żeglugi śródlądowej i na trasie z Wyszogrodu do Gdańska podróżował, przywoził tu też mojego tatę, który ostatecznie został naukowcem i osiadł w Gdańsku, i pamięta jeszcze tę symboliczną postać, przywołaną w „Błaszonym bębenku” – Oskara, który głosem swoim rozrywał szklanki. No i cieszyli oczy widokiem Wyspy Spichrzów. W owym czasie to wszystko stało, a obecnie pozostał, a właściwie został zrekonstruowany, jeden spichlerz tutaj naprzeciwko, bo to jest żelbetonowa konstrukcja tak naprawdę. Wytrzymałość półtorej tony na metr kwadratowy. Po wojnie też jakby funkcjonowało to w ten sposób. No a reszta, jak widać, zarasta regularnie. Wyspa ma swoją specyfikę i jest wyschniętą właściwie łachą takiego błota, można powiedzieć, która jest na palach jakoś umocowana, przynajmniej cypel północny tak wygląda. Zabudowanie tego terenu tworzy wyzwanie dla potencjalnych inwestorów.

To może dobrze, że takie wyzwanie, bo już by tu dawno jakieś paskudztwo postawili?

Mnie było to na rękę, no chyba mogę tak powiedzieć, przyznać się do tego przewinienia, że ta sytuacja kryzysowa troszeczkę powstrzymuje inwestycje – bo to już miało ruszyć bardzo ostro. I jak jakieś polne zwierzątka ja też tutaj siedzę i działam pośród innych polnych zwierzątek. Legendy krążą na temat lisków, tchórzofrotek, które tu zresztą gnieźdzą się po tych dachach. Tak, że jest tu taka flora, fauna. Podobno jest jakiś gatunek żabek nawet oryginalny dla tego miejsca, ale tym się chyba nikt nie będzie przejmował, gdy przyjdzie co do czego i raczej zaleją betonem wszystko w odpowiednim czasie.

To co, odprowadzisz nas?

Proszę bardzo, wielkie to nie są obszary. Może na początku pokieruję tutaj. Oto właśnie wejście, plac, tu skręcamy do pracowni. Tu bardzo przyjemna sala. Fragmentem jej jest XVII-wieczny autentyczny mur – zabytkowy. Chociaż nasze zdziwienie budzi to, że czasami niektóre cegły ponoć starsze są wyżej, a te świeższe – niżej. Może był odbudowywany po prostu. Natomiast to jest gruby mur, ma ponad metr grubości. Kiedyś nie było spichlerza w tym miejscu, to był > >

kosmiczne pływy

**rozmowa TR
z Markiem Rogulskim**



ogrodzony teren po prostu, w którym składowano różne materiały. A dalej jest ulica Pożarnicza. Tak się krzyżują ulice: Chmielna, Żytia, Pożarnicza. No i to bardzo sympatyczne miejsce, które ma ten walor, że pozostaje suche właściwie przez okrągły rok w przeciwieństwie do innych tego typu pomieszczeń. Także koncerty odbywają się z reguły w tym miejscu.

A ty całorocznie tutaj jesteś?

Tak, zasadniczo tak. A, no tutaj rzut oka na przeciwległe pomieszczenie. Tutaj czuć już bardziej dobitnie wilgoć. W ogóle całe Dolne Miasto ma ten problem. To lato, takie wilgotne i mokre, to jest tragedia dla wielu ludzi. To jest, proszę, świetlik nie przymierzając, jak w Zachęcie.

No, zupełnie.

Wszyscy się zachwycają. Proszę dołączyć.

Słyszałam, że tu UFO lądowało...

Pewnie nie raz, pewnie zanim ja tutaj się pojawiłem. Ta wyspa naznaczona jest śladami obcych. Przygotowujemy czasem do projekcji takie konstrukcje. Ta wystawa akurat jest obliczona na wieczorną ekspozycję, wieczór, noc, także to będzie jeszcze inaczej się prezentowało, niż teraz. Bo daytime wystawy pod innym kątem trzeba przygotować, a nocne – pod innym, a jest to jednorazowe wydarzenie, jedno-nocne...

Kiedy to będzie?

W tę sobotę, w nocy. Tak, że to będzie trochę bardziej tajemnicze. Punkty świetlne w ogóle określają tę wystawę z założenia. Tutaj też się pojawią monitory... Tu kolejna mała salka, tylko proszę nie wdepnąć, bo takie czasem kałuże są niewielkie, ale chyba podsycha już. No i tak. Tak w klimacie troszeczkę baraku. Ostatnio Dorotę Nieznańską tu pokazywałem, właśnie te stoczniove jej historie o bramie. Kiedyś Ankę Baumgart, rzeźbę. Z niektórymi pracami bardzo dobrze to współgra, z innymi... nie wiem.

No i tutaj, ta przestrzeń będzie wykorzystana pod kątem fotografii. Tam taki ładny stelaż zamontowałem. Ponieważ tu się sypie, to może nie będę tu was oprowadzał.

Pokażemy fotografie Leszka Krutulskiego, cykl, który polega na tym, że fotografuje on pół twarzy, po dziesięciu latach drugą połowę i dopiero coś się zamknie, jeśli ci ludzie dożyją do tego czasu. No i cieszę się, że póki co, nie pada. Oby do soboty się tak utrzymało, bo to podcieka potem, jak się suszy ta glina, którą lepione jest sitowie na deskach. To taka technologia jeszcze, dosyć dawna. Natura działa. > >

A powiedz kilka słów o sobie, kim jesteś?

No cóż, Jasiem Wędrowniczkiem. Od kilkunastu lat działam na Wyspie Spichrzów, akurat tak się złożyło. Naprawdę, to porównanie do leśnych zwierzątek byłoby najbardziej odpowiednie. Działalność prowadzę w oparciu o fundację, którą powołałem w 1992 roku. To już 20 lat działania fundacji. W sumie jeden w pierwszych, z tej pierwszej fali podmiotów, które powstawały w wolnej Polsce, wcześniej to była Galeria 114, Stowarzyszenie Inicjatyw Społecznych w 91 roku, w którym też inicjowałem działalność i którym kierowałem. W 1992 już uznałem, że dla własnych celów i filozofii działania warto mieć fundację i żeby ta fundacja była właśnie takim (jakim do tej pory jest) skromnym, ale jakimś ciałem prawnym, jak to się mówi. To miejsce nazywa się Galeria Spiż 7 i ma już 15 lat. Co później będzie, tego nikt nie wie. To są tajemnicze sprawy. Wszystko.

Co jest dla ciebie najważniejsze?

No najważniejsze to się najeść, codziennie się najeść trzeba, inaczej człowiek nie ma energii do działania.

Po tobie nie widać, żeby to było najważniejsze.

Bo ja dużo spalam właśnie niestety, to jest ten przyziemny problem spalania energii, kalorii. Przy każdej wystawie kilometry się przechodzi po prostu. Wolontariusze przychodzą, ale z reguły już na gotowe i właściwie tak popilnować ewentualnie. O właśnie, walorem współpracy z galerią miejską na przykład tym razem jest też to, że organizują profesjonalną ochronę. To bardzo kosztowne. A rzeczywiście będzie dużo sprzętu, część będzie wyprowadzona na teren okalający ten obiekt, więc to są takie pożyteczne drobne sprawy.

Co jest ważne... no ważna jest możliwość działania. Jest ważna, nie ukrywajmy. A ponieważ utrzymanie takich obiektów na absolutnie normalnych – można powiedzieć w cudzysłowie – zasadach, gdzie wymagałoby to jakiegoś niebywałego finansowania, byłoby nie do pomyślenia w kontekście tak skromnego podmiotu, jakim ja jestem, jako fundacja nawet. Dlatego to jest jakieś wyzwanie, no i trzeba wykorzystywać (co jest w zasadzie strategią popularną) te obiekty, które można wykorzystać, dopóki się coś nie zacznie dziać. Oby jakieś niemądre decyzje urzędników nie przyspieszyły tego procesu, bo to nigdy nie wiadomo. Więc jak ta mysz pod miotłą człowiek siedzi i tam skubie swoje małe sprawy po prostu.

Lubisz Gdańsk?

Tak człowiek się nie zastanawia nad tym w zasadzie, ale ponieważ takie pytania padają od czasu do czasu, no to odpowiadam, że tak. >>

Ale co lubisz?

To raczej chyba wynika z tego (podstawowa kwestia lubienia-nielubienia), że ja urodzony jestem w Gdańsku, więc jestem zrośnięty z nim po prostu. Takich rzeczy się może już nie wybiera. Można narzekać na pewne okoliczności, które człowieka spotykają, albo je chwalić, zależnie od sytuacji. Wydeptałem tu już tak dużo ścieżek, być może ciągle tych samych, dzień w dzień, że jestem bardzo zrośnięty z Gdańskiem, też jakąś tam filozofią, też z perspektywy mnie jako artysty działającego w Gdańsku.

Dla mnie jest najpraktyczniejsza jednak sytuacja, gdy mogę dysponować pracownią, która skupia w sobie projekty muzyczne, projekty wystawiennicze i to ma dla mnie sens, bo unikam dzięki temu marnotrawstwa czasu i energii na jakieś przemieszczania się. Więc to skupienie jest praktycznym walorem i to bardzo cenię, dopóki to istnieje rzeczywiście.

A czy to miejsce ma jakąś misję – filozofię?

Tutaj rozpocząłem realizację projektu „Poza Postmodernizm”, chociaż rzeczywiście trudno mówić, że tu się narodził. Narodził się we mnie, ale pierwsze odslony takiego zakrojonego szeroko, przyszłościowo projektu „Poza Postmodernizm” miały tutaj miejsce w roku 2000 wystawą „Poza Ciało, Poza Umysł” i od tego czasu go tutaj realizuję; w tym sensie to jest jakaś tam charakterystyka tego miejsca. Chociaż oczywiście nie jest ono warunkiem istnienia czy realizacji tego projektu.

Natomiast faktycznie wyrosło to tutaj właśnie w filozofii tego rozgardiaszu czy pewnej nicości. Nie da się ukryć, że przebywanie właściwie nieustanne tutaj (bo tym trzeba się opiekować nawet w takim stanie, w jakim jest) powoduje, że owa filozofia istnienia w pewnym zawieszeniu, w jakiejś niepewności na tym śmietniku kultury, cywilizacji, w miejscu, gdzie te destrukcyjne siły losu są tak uwydatnione, ma pewien kontekst, określa pewną filozofię działania. Wszędzie budują dookoła, a to się zamienia w taki właśnie bezwład pewnych procesów natury, które pożerają tę cywilizację i kulturę, i to też jest walorem tego miejsca. Nie opłacam ludzi, nie mam na to pieniędzy, żeby pracowali podwykonawcy, więc większość wykonuję sam, można zatem mówić o takiej filozofii (która wynika z tej niemożności) – filozofii budowania na rzeczach prostych i na swojej energii tak naprawdę.

A gdybyś Ty miał zdecydować o przyszłości Wyspy, to co byś zrobił?

Ja na szczęście nie muszę decydować o przyszłości Wyspy. Niewątpliwie to jest tak, że takie decyzje nie zapadają w próżni. To jest tkanka miejska. To jest obszar, który podlega szerszej filozofii działania, szerszej filozofii > >



inwestycji, jak wiemy, szerszej filozofii społecznej też jakiejś. Postulowanie stanu destrukcji, który miałby się utrzymywać w nieskończoność, byłoby absurdalne, bo czym to motywować? Los niesie więc pewne rozwiązania sam w sobie. Na ile można być aktywnym elementem tych rozwiązań, to też nie do końca ode mnie zależy, bo ja nawet nie znam wszystkich okoliczności, które wpłyną na kształtowanie się tego miejsca w przyszłości. Ogólne kierunki są znane. Tu ma być zabudowane... Sytuacja, jaka teraz jest, mi sprzyja, natomiast to nie będzie trwało wiecznie. Nawet ja nie mogę prowadzić tutaj skromnych inwestycji. Znaczą – prowadzę – na zasadzie takiej, że reperuje się dach, gdzie to jest możliwe, ale to nie jest nic poważnego, prawda? Więc te obiekty będą się waliły, prędzej czy później. No i to będzie stanowiło jeszcze jakieś wyzwanie. Z punktu widzenia działań artystycznych jest ok, bo to pozwala wydobyć z tej nicości coś jeszcze. Ale z punktu widzenia kulturowych strategii to pewnie trzeba na to inaczej spojrzeć, a ponieważ i te, i te nie są mi obce, więc zdaję sobie sprawę ze złożoności takiego tematu. To się nie da jednym słowem czy zdaniem powiedzieć, że fajnie by było, gdyby tak zostało. Z drugiej strony dobrze, gdyby działalność artystyczna mogła się dalej rozwijać, ale czy akurat w tym miejscu to też nie wiem, bo nie wiadomo, co jest bardziej inspirujące w życiu, czy ta zmiana wymuszona losem, czy właśnie kontynuacja. To wszystko jest wynikiem wielu naprawdę tchnień i wpływów kosmicznych, nazwijmy to. Można tylko przyjmować to, co spłynie.

Marek „Rogulus” Rogulski (ur. 1967 w Gdańsku) – artysta multimedialny, rzeźbiarz, malarz, performer, twórca video i fotografii, muzyk, teoretyk sztuki.

rozmawiała kk



2011

NOWY DWÓR MAZOWIECKI & MODLIN

Echinacistas, a crazy, invasive plant attacking coastal shrubs.

In front of the spectacular Modlin Fortress, where the blue Narew flows into the yellow Vistula river, there are the ruins of the granary of 1844. That, as the newspapers wrote at that time, "most impressive building wasn't very profitable and at the outbreak of the Second World War it served as a garrison magazine. Today, it often stars in movies. Abandoned and mossy, looks like a building from a fairy tale, populated by birds, insects and animals. We admire its reflection on the surface of the river, on that exceptionally beautiful day, with silver flashes of sun on the water.

In slightly worse circumstances, Sebastian Siekielewski and Dominika Bienias play on the boulevard in Nowy Dwór. This leads to interesting interactions with passers-by, discussions, and the somewhat deserted place for the first time probably takes on a new dimension.

ZAKROCZYM

About 40 miles northwest of Warsaw, you can find a rather inconspicuous little town, with the population of about 3,000 inhabitants. It is situated on the high banks of the Vistula, which offers a beautiful view of the river flowing at the bottom and sandy shoals, surrounded by lush vegetation. Birds: sandpipers, and curlews. We meet a few gentlemen from the municipal office, who proudly talk about the rich, turbulent history of their town. There are a few shops, a pharmacy, a post office, restaurant... There are also monuments, history, some potential. And of course the river. There is however a need for a spark...

Paulina Braun arrives with her idea of a video-relay. The rules are simple: a resident of Zakroczym presents a piece of his or her world, with the use of a video-camera, then visits other people and passes the camera to them. A dynamic story of the place is told. Also a new network of local relationships is created, sharing kindness, help, curiosity, a network, which actually may have existed before but has been overseen.

CZERWIŃSK

One of those places you want to visit again and again, cut off from the rest of the world and blissfully quiet. Here you will see charming traditional small-town buildings. Colorful houses scattered around the area, an old mill, the Vistula River with a wild island, strawberry fields...

The Church of the Annunciation of the Blessed Virgin Mary originally built in the Romanesque style, currently contains the elements of the Gothic and Baroque. It is yet another place where the troops used to cross the river. In July 1410, the army of Władysław Jagiełło bravely crossed the Vistula River, to connect with the Lithuanian army and fight the Teutonic Knights.

Our wonderful host is Richard Piotrowski, an artist who deliberately chose this place and adds value to the site with his statues sticking out of the lush green slopes.

And at sunset in a wooden boat steered by Marcin Figurski, Miro Kepiński gives a sitar concert... A truly exclusive experience...

August 15 – it's probably one of the most important events in the cultural calendar of Czerwińsk. Mass at 11:30 am and all sorts of ceremonies, local authorities, orchestra, bouquets, as well as colorful stalls, balloons, cotton candy, plastic watches, guns, lotteries...

Kuba Twice Improvise, a duo from Warsaw sing an improvised song about the Czerwińsk carousel. Residents tell us about their problems, what they would like to change, and of course about the Vistula.

WYSZOGRÓD

Until the dismantling in 1999, the longest wooden bridge in Europe (1300 meters, 60 bays) stood here. It was built by the German army sappers to cross the river. Now its remains looks a bit like a story with no ending...

Kuba Twice Improvise perform in a non-existent doorway... on the remains of the bridge... and of an amphitheater...

Mr. Andrzej joins with a Mediterranean repertoire... Sad story about non-existence: a life castaway on the once lively scene singing songs in an unfamiliar language. Wyszogród probably still has not found its language too... We will have to come back here one day.

PŁOCK

At Tumskie Hill, in the early Middle Ages, there was a center of pagan worship and a fortified castle. Later the kings Władysław Herman and Bolesław Krzywousty resided here and Płock was the capital of Poland between 1079-1138.

Today, the city continues to attract. The Vistula river with its beautiful beach, the peaceful market...

We bring music and photography here, whereas the local poets get involved in a poetry reading – mainly about the river.

MURZYNOWO

20 km west of Płock, you can find a village full of treasures – Murzynowo. Stanisław Murzynowski, a 16th century scholar and author of the first book on Polish spelling, lived here.

The initiator of a unique museum in an old hut, was professor Jacek Olędzki, anthropologist, ethnographer, mostly dealing with the study of folk culture. He left films and photographs of vanishing folk culture in the Polish countryside, living in harmony with nature and natural religion.

His collections are found in a wooden hut in Murzynowo. Despite two storms that tried to spoil our plans, we managed to get inside. Indeed a place full of wonders...

NOWY DUNINÓW

Nowy Duninów is located by the Włocławek Lake, an artificial reservoir on the Vistula formed in 1970 from the accumulation of water on the dam in Włocławek.

Residents born before that date mention islands in the middle of the river, a high slope and problems associated with the operation of the dam in its early days.

Three historic palaces hide among wild bushes in a former park. A warm, sunny day. A girl stands under a big oak. She holds an open album with a black-and-white group photo. In the photograph there are local school teachers, children, and among them the girl's mother, a few decades ago.

There is also a young, newly planted tree – it is the same oak in whose shade she now stands...

In the evening, a clash. Two worlds. Literally. During the “Summer Farewell Party”, with pop music, beer, and fried sausage, a smiling shy young woman, Gosia Penkalla enters the stage. She sits on a chair with her violin and guitar. The audience did not expect any thing like that. Gosia's gentle voice enchants the audience. The contrast between the two worlds is becoming less clear, but still intriguing. Satisfactory surreal situation...

WŁOCŁAWEK

A rather forgotten city, a little out of the way. The closer you get towards the Vistula, the less you see of trade, less people, strange atmosphere, like a disturbing dream... With each step, the buildings are becoming more damaged, dilapidated, doors, windows boarded up. Neglected Old Town, just a few meters from the river. Pretty sad.

Kuba Twice Improvise strike again, and compose a song about Włocławek together with the inhabitants. Kids join the colorful parade.

There, on the boulevard there is already Jacek Bąkowski with his shelf full of poetry books. “Wait, I have a poem for you.” Just stop for a moment, sit down, listen, exchange ideas...

During the sunset over the Vistula the mesmerizing guitar of Miro Kępiński can be heard over the boulevard...

In another place, Marta Żakowska animates the space in a housing estate of Skarżyskiego Street No. 2, and the local kids paint an old cabinet to make a spot for exchanging items. Children eagerly respond to new ideas. They are happy to receive a bit of attention or even a smile.

TORUŃ

In Toruń Parasite greeted us... Parasite is a man, an artist who devised a cunning plan to use cultural institutions, galleries and similar institutions as his host. Now he is living in the Gallery on the Vistula River, run by another artist – Marian Stępak. Thanks to their kindness Sesilus could stay there for a few days. The place is beautiful...

BYDGOSZCZ

I reached this city located on Brda river.

On Mill Island Dorota Bąkowska-Rubeńczyk with a backpack full of noisy gadgets, colorful cords, ribbons and cups held a family workshop "The Music Sculpture".

In the evening, in the center of Bydgoszcz, wrapped in a white cloth, carried by unidentified individuals, Penelope arrived. She was delivered to a club where the other Penelope clad in white awaited her. They met again, it's probably a sign that the journey came to an end...

2012

DREWNICA/ŻULAWKA

In the morning we went to Rybina. Half an hour after the start – the first surprise: the gate in Gdańska Głowa is closed because of the so-called backwater. It may last a day or three. As a reward the Vistula grants us with the shocking intensity of the sunset. We travel at night to make up for the lost day.

GNIEW

The Panorama of Gniew draws beautifully above the Vistula River, the red massive silhouette of the Castle rises above the rich greenery. Another hydrological surprise awaits us here. The water level in the narrow and shallow Wierzyca river is so low, it does not allow our boat to get close to the town. Thus we enter the town by foot on the soft curve rising from flood-plains to the Castle Hill.

The appearance and condition of the Teutonic castle points either at the presence of a local madman or big capital. It turns out that in Gniew there are both, however the visionary, as you may have guessed, came first. When asked about the castle, everybody tells us to see Jarosław Struczyński, the Castellan.

Jarosław Struczyński is a middle-aged man with the grace of a charismatic leader, with blue eyes of a revolutionary and a middle ages style beard. Good speaker, aware of the historical and social context, with pride, but also a certain humility tells us, how inspired

by the stories told by his brother, historian, at the age of six he told the amused parents that he will rebuild the castle in his town.

The Castle burned down in 1921. In the 1990s Jarosław Struczyński, young director of the local cultural center persuaded the municipality to slowly rebuild the ruins. The first wave of unemployed began the renovation. Able artisans were found eager to make armor, weapons, and other historical items, making Gniew a prominent center of historical reconstruction. Struczyński himself, during several years of reconstruction of the battle of Grunwald plays the role of Ulrich von Jungingen.

Because of the difficulty in financing such a large investment, and despite the fears of its lovers, the Castle was sold recently to a private dairy company. There is a hotel here, an elegant restaurant, horse riding facilities, huge outdoor chess, and other attractions; Struczyński did not lose his social sensitivity, which caused him to start his career. He feels that the Castle has become somewhat elitist, and that many residents no longer identify with it. Gniew matures to a change.

The priest at the St. Nicholas parish in Gniew, Zbigniew Rutkowski tells us (what we know perfectly well) that only crazy people can change the world. Quite young, telling jokes and anecdotes, critical of the bureaucracy and full of enthusiasm for his parishioners, he carries a passion for archeology, drawing from and around the church forgotten treasures shedding a new light on the history of the town.

The priest is aware of the cultural potential of Gniew but decided to use it in a way that will appeal to the masses, creating all sorts of "new traditions." Around the church there is a lovely street full of small colorful houses, and a statue of a... bear – dressed every month in new clothes. There is also a history garden with stone installations informing in a fairly entertaining way about important moments in the history of the city, and between them there are facilities enabling a variety of games, such as tic tac toe or chess.

The priest also initiated the annual parade of princesses, which is held on Aug. 15, the day of our visit to Gniew.

The procession is opened by the vicar in a colorful wig and on stilts. Princesses of all ages join the parade, the majority of them in pink robes, led by a priest in the city of strong male personalities and reconstructed knights... But it has a dimension of community and a taste of matriarchy. The only surprising thing is that despite the mass participation and lightweight nature of the event, their faces are very serious.

Arek, the artist-parasite (pasozyt.blogspot.com – here's more about his idea of parasitism), is with us in Gniew. He now has a new project, called "Can I help you". Clad in a T-shirt with the slogan, he offers his various services. He is not employed too often, but he makes friends with half of the city. Through him we get to people who are, so to speak, the third voice in Gniew.

The city's music scene is interesting, especially the heavy metal one, as we learn from the musician and 'local activist', who wants to stay anonymous. He loves living in Gniew, runs a small business, and together with his wife realizes a lot of ideas. On the one hand he respects the Castellán, on the other he is clearly disappointed with the direction in which the Castle developed, now available only to ticket holders.

Wiesław Śliziński, a local businessman sees the same problem, though from a slightly different point of view. He opened his new premises called the Cultural Centre. For now, they have nice service, inexpensive food, bad music, extravagant toilets, and a large playground for children. Yet local residents complain about the noise and karaoke nights. Śliziński does not think about high culture, but he wants to bring workshops and other activities on the border of culture to his bar.

We return slowly to our boat, taking pictures and meeting for the tenth time the omnipresent priest and then the unemployed Łukasz, who promises Parasite that he will benefit from his assistance, if necessary. Arek helps the ladies from the culture department to distribute posters promoting the Gospel Festival, and helps a guy named Krzysztof carry boxes out of the garage. When asked what is the best thing about Gniew, Krzysztof answers without a blink: People.

NOWE

Nowe can be found on the Gothic historical route, but the Teutonic castle built here had no luck, destroyed during the Swedish invasion, partly demolished, served as a Lutheran church, warehouse, and finally fire station. What was left was eventually converted to a cultural center.

In the city, a bit dull and traditional, there is a lot of interesting sites, mainly Gothic, but our love for industrial building and water brings us to the pump station of Kończyce. Built in 1909 to protect the surrounding fields it worked almost a hundred years. Consuming almost a ton of coal per hour, eventually it gave way to a new place, more efficient, and now, carefully restored, is a local tourist attraction.

A local historian, and deputy mayor Zbigniew Lorkowski shows us around the place, with the assistance of his wife – a teacher, working in a local association for the development of recreation and culture – and their little boy.

We also meet with Michał Śliwa who works at the cultural center and is an amateur historian. A jovial moustache owner, he shows us the inside of the ancient churches and the unlucky castle.

While we admire the panoramic view of the Vistula River from one of the local viewpoints, Parasite offers to help a couple living very near to the river. First he is asked to chop some wood, but when they read his leaflet presenting his skills, they ask for a landscape painting. With the use of acrylic paints and canvas with the photo of Marilyn Monroe from the local cheap store, Parasite paints the red roof of the hosts' house with the panorama of the town in the background. Mission completed.

Recently, we could see you opening exhibitions in an important institution, and now, in Lubostroń you put people into foil-wrap dresses. What has changed?

Nothing in particular, I wanted to go back to Bydgoszcz. Once I stopped being a director at the Centre for Contemporary Arts, I did not want to stay in Warsaw any longer. I didn't feel at home there. Together with Marta Filipiak we started to realize socio-artistic projects. Moreover, I was always interested in the social aspect of art, and art which is useful. After twenty years of work a reflection comes, what is it for, for whom, I think this thought occurred to me early on, after college, I started working at the museum in Bydgoszcz and nobody ever came. So I put all my energy right from the start to make it useful and for the people. Of course, in order to achieve something like that, I had to work with many people. We have achieved the status of one of the most important places in Poland, we have created a garden on Mill Island... I then began to look at the role of the museum as a very open place.

I think Bydgoszcz has great potential, but I see no interest in culture which is not occasional, only in various festivals etc. They're ok, but culture is created from the bottom up, and the bottom-up approach is not noticed by the city or by the people who are responsible for such matters.

I think it's a nationwide feature – a kind of festival mania...

I compare it to sowing grass in large residential areas. It should be sown first, to see which way the people move there and the paving should be done later. It seems to me it's quite simple and you can do the same with various cultural initiatives. See where such initiatives are created and then just support them. We created the old bakery from total ruins and people come there, they cleaned it – it was a lot of work – meet, want to be there... If I were the mayor, I would support it. On the other hand, community centers are built, they get a lot of space, and nobody ever comes there.

What needs do your activities meet?

I think people need to leave the house, but not just to go shopping or to the pub. Our work is becoming less and less creative, we work as transmitters of information, often of quite limited capacity, in front of computers, and there is this need for creation in people, I think they gather where they can do something together and have a common goal and that is why our filmmaking project became so popular – because everyone is needed. Some create costumes, others help carry the light, while others are performing, everyone has their own job and the jobs are often interchangeable, one does the cooking, then someone else does the coking. We have created some kind of >>

community, people share their time, sometimes even money, their skills, their contacts, various types of resources. At this time, around a hundred people are involved, and around 30 on a permanent basis. We are very different, some are artists, or people connected with art, some are lawyers, doctors, teachers, builders, people running their own businesses... Ladies who have been here with us for a few days, they are retired accountants, engineers. Mrs. Ela, who plays the main role, is an amazing person, she came so sad, looking for a place for herself, since December we have been seeing each other several times a week. Mrs. Ela was a school cleaner, now she plays the major role here and she is very happy... Oh, I'm gonna cry!! I didn't know that I'm so sensitive...

The question arose: what movie? At some point we discovered that we always wanted to shoot a fairy tale. Recipients may be individuals of different age groups. Our "Little Mermaid" has two levels just as Andersen's fairy tale. It is also the story of frustrated feelings, illusions. "Little Mermaid" was Andersen's letter to his 'lover', who did not reject his feelings, but kept him in illusion, as the prince maintains the Mermaid's illusions. This story has always seemed so cruel to me, I thought that Andersen hated women, he crippled the heroine, deprived her of her voice, and still the man did not love her. Later it turned out that he was actually writing about himself, his suffering and illusion. I hope we can show it in the movie.

Going back to the fact that so many people are looking for support from other people, for me it was a surprise that everyone here would like to join, the conditions are what they are, sleeping side by side, a huge queue to the bathroom every morning, no fancy meals, social conditions are so-so. We learn tolerance for one another.

How does this relate to Maslow's pyramid, which shows that people must first meet basic needs, and art is a "fad".

Well, most people who are here with us, they have unsatisfied basic needs, it is this type of people. If I had to wait until this point, I think that I would not make it. I am 53 years old and I'm glad I do not own anything (laughs). Recently I met my friend, an artist, who came from Germany, and he said a beautiful sentence: "we may not have money, but we have time". I have the time to dedicate to others, to myself. Before I've been dealing with things that were urgent and not important. They certainly were not important, because even if sometimes I did not meet the deadlines, nothing happened, but they took a lot of my time.

In total, people stopped doing normal things, taking care of their surroundings, to make them nice, to transfer skills, and crafts. Then it turns out that artists have to do it. >>

Yes, they took the initiative, as well as people who have a need to be with others or do some projects. Now the ability to create that kind of thing, groups, communities, has become an art.

Therefore, there is a problem with the definition of art. Some still believe that it is realistic painting, and the others think that applied anthropology is art.

These communities are often popular among people who have education, professional success, and who may also have some financial success, but see no purpose.

I arrived here after ten years, I had a lot of time, visited friends. First we came up with “Fable-mania”. This we did in July. Mainly relying on a group of friends and their friends. However, in the scene with human-stones more people were needed. I figured that it would be easier if they get gray jumpsuits – as simple as it gets, only a symbol. We gave an ad to the newspaper. Welcome whoever wants to come and take part, it is a kind of workshop... It was amazing that at some point whole groups of people began to arrive, some older couples, families with young children... This scene for me is always the most moving, when they take off those grey clothes and you can see that they are ordinary people who have reacted to our ad. Then we made “Warming up the City” and I really didn’t know how it would go, how many people would respond, how many people may need it. It seemed to me that there is a lot of stuff aimed at young people. I wanted to reach the older ones. So I began to think and this project just came to me. Beata Tyszkiewicz, a popular Polish actress, says that a true lady is smoking, drinking and crocheting. It seemed to me that if I invite people to make crochet squares and combine them, (it’s not my idea, it is done everywhere around the world) it will attract particular people. And it did. This scarf is here, is about four hundred squares long.

I think the cool thing is that the older girls also discovered that there is no problem for them to go to a club or bar. First they believed concerts were not proper for older people. But I said, excuse me, but I’m only a few years younger than you. And that convinced them. However, they still perceived me as a younger person.

Age is in your brain.

That’s right, but who forbids them to behave so. I actually persuaded them to go to the concert, sipping beer and all. “We were afraid because we thought we would look like freaks”. I think that through this many people broke their inhibitions. It turns out that they like the music their children and grandchildren listen to, but did not have the courage.

Many people are sitting on a bench, complaining about unemployment etc. Then suddenly it turns out that you spend two hours with that person and this is enough, something is changing. And then you think that nobody has ever devoted those two hours to them, it’s sad. But it is beautiful when something clicks... >>

I think there is also a problem with education. It's great that people are educated, they become smarter, more aware, etc. But one shouldn't be telling them that after graduating they will work in a particular profession. I suppose that soon nobody will have a job.

Right, if you don't invent your own job, you won't have it...

It seems to me that fewer and fewer people need to do anything, I do not know how the world will look like. Although I probably will not live to see, but I already worry for the others.

This is a problem because growth and production are the basis of our economy...

If you exchange the amount for quality, it will be fine. But to make it happen, we must have an educated society, someone who does not have skills can't do anything of quality. It takes a lot of time to learn it. For example, I'm very good at knitting and crochet, but I have been doing this since I was ten. This not only applies to the craft, but also to other things, areas. To create an object of higher quality, you need to come up with an idea, you need to be aware of things, have the ability in your hands, know how to operate machines...

Maybe that's what should be taught, not marketing.

Yes, we are now in the service era... A few years ago Mathew B. Crawford wrote this book "Shop Class as Soulcraft". He was a philosopher, first worked at the university, then in a corporation until he dropped everything and set up an old motorcycle repair facility, and after Thoreau and Pirsig his book is considered the third most important book about how to live. There is a chance that our future generations can once again be creative, not just calling you and trying to sell a new service; seriously I get the impression that everyone is working in telemarketing.

You have a certain amount of product that you have to sell, you have to perform hundreds of phone calls a day. These people are mentally exhausted. And then we wonder why they are not interested in coming to the museum, to a concert or participating in a project as ours. On the other hand, there are those who want to leave, take part in something because they want to break away from their everyday job. One guy sits in front of the TV set, or just covers his head with a duvet. Another one will look for alternatives and will want to get away from that. People who are responsible for financing culture have no idea what the society is like. That's why they make mistakes.

But you realize somehow. It is quite visible, isn't it?

On the one hand you can see it, on the other I do my reading, I am interested in sociology, philosophy, culture. Not only because of my profession. If I do something for other people, I try to understand their problems. If someone wants > >

to rule the city and the country, he also should know these problems. It's logical to me that if I am managing an institution, and I was director for many years, I ought to know something about how the world looks like, what the guard's or the cleaner's life looks like. In fact, the direct contact started when I was the director, because suddenly the problems of Mrs. Ania or Zdzisia started touching me. I was the person to whom they came, talked about their problems, and these problems had to be solved. I suddenly understood, that a place like the museum may be useful to society, that the word "social" or "public and social art" has a deep meaning. It's not just about people coming and saying "wow" to strange things.

Are you a happy person?

I do not know, I can not answer that question. I can say that in terms of career certainly my life was rather successful. I was director in Bydgoszcz for several, then I put up sixteen associations throughout the country, supporting contemporary art, "the Signs of Time", then became deputy director at the Ujazdowski Castle in Warsaw, but I think for me it was the least creative time. It was probably not the place for me. I think there comes a time when you don't want to make exhibitions any more. I think I'm already at this stage. I have some ideas, but they could be implemented by young people. I think I'd be a good teacher. Actually, everyone wants to learn from their own mistakes, and it seems a very expensive way to me. It is better to learn from the mistakes of others.

It applies to people and states, and cities...

And relationships and partnerships. Why learn from your own mistakes, lets learn from Little Mermaid's mistakes. Do not succumb to illusions.

What should one do in Gnień first?

I think one should first look at Gnień from the air and realize that it is a unique town, not only in Poland, but also in this part of Europe – with preserved medieval urban structure, the old city, surrounded by walls, with a central square of the town hall, the houses, the church of St. Nicholas, and in the eastern part – the castle hill, the castle of the Teutonic Knights built from 1283. This historic town is surrounded by suburbs, which of course now changed their function, but the main traffic routes, the routes leading towards Malbork, Gdańsk and towards Świecie, lie almost in the same places, so that the entire modern city developed around the ancient, medieval suburbs.

Without a doubt, a major treasure of Gnień is the castle. The castle, whose history is very interesting, it survived many events. Not that much war, but neglect and lack of care. But also the phenomenon of Gnień is that this castle, which lasted for years as a ruin after a fire in 1921, in the 1990s was brought back to life thanks to the inhabitants of the city and the community of Gnień. And today, it is an important component of the tourism life in Pomerania, with tens of thousands of visitors, participants of events, projects, who are here for the opportunity to meet with history, take a journey into the past, but also to spend their time in fairly restored interiors, in our little hotels, restaurants...

We also have a permanent space for the realization of the historical plays and performances throughout the year. Of course, the greatest intensity of these activities is during the summer holiday season, but when the frost bites, in the interiors of the castle are held history lessons, or large educational projects combining history with modern technology. We also have reconstruction groups, with the pride of the Polish army, the Polish hussars, who have been here for eight years, under Mieczysław Struk, Marshal of the Pomorskie voivodship, and I have the honour to lead it as a lieutenant in the field and in everyday life.

So Gnień is a truly unique phenomenon. I think you can even compare it to such prominent historical and tourist sites in Europe, as the French Carcassonne and Rottenburg in Germany. For sure it is a goal to which we aspire, and the potential of the town is undoubtedly comparable to the potential of these sites. Apart, from the scale of course. Participants of our reconstruction groups have gathered in international tournaments, in the United States and Canada, and in New Zealand, and Australia. The Knights of Gnień are one of the most prestigious professional groups, of course, not in the sense of treating this as a profession, but in terms of the level that we achieved in the international arena.

But it is also thanks to this place. Because it has largely shaped the minds of these people. It is also thanks to unprecedented talent of local craftsmen. Among the two and a half thousand unemployed people we managed > >

the phenomenon of Gniew

conversation with
Jarosław Struczyński

to find a few with genuine talent, our chief armorer, Mr. Maciej Kotlarz is now one of the best armorers in Europe. His armor is used all over the world.

Of course, Gniew is not just about history and tournaments. One of the first things, which has been here continuously for over 20 years is the Gregorian Schola Cantorum. The choir was founded in 1991, in January. It is difficult to find in such a small environment, suddenly a dozen lovers of Gregorian chant, which has really almost ceased to exist in the liturgy of the Church. This is an amateur choir, but it is very successful. From singing in the ruins of the castle, with concerts in France, Germany, Portugal, we recorded several albums, and according to connoisseurs of music, we are one of the better examples of the interpretation of Gregorian chant, not performed by professional musicians. The convent of the monastery was composed of different people, and everyone had to sing the liturgy. Therefore, we are considered – thanks to our mistakes, shortcomings, lack of qualified voice – a very reliable way of singing Gregorian Chant.

I think of the many reasons why Gniew castle is unique. By 2010, it was the property of the municipality. Now it is private property, due to the inability to obtain funds for the implementation of the regional revitalization plan. And as decided by the local government together with the castle community, in this case my decision, the person who was then responsible for the operation of the Gniew castle, we started to look for an external investor, and on July 15, 2010 – 600 years after the Battle of Grunwald – Polmlek group, a Polish dairy company became the owner of the site..

How did it happen: the ruin of a castle and a city with high unemployment and suddenly you guys create something like that?

I want to keep humble, but I have to blame myself for this to some extent. I was born in Gniew. I was lucky that I had an older brother who studied history, and he made me aware of the existence of a historical perspective. And this interest in history led to the decision that I made at the age of 6, and announced it to my parents and siblings that I will rebuild the castle in Gniew. They, of course, laughed their heads off. But it happened that after less than 20 years, I returned to this idea, which was associated with the start of my mission to manage the cultural center in Gniew. By education I am a mechanical engineer, a specialist in underwater welding. However, somewhere this passion for history, culture, and tourism was so deep that at one point I decided to interrupt my professional career and become director of the cultural center in the competition, and I drew attention of the municipal councilors to the need to take care of the castle ruins.

> >

What would you say to the cities, that have failed to “find their way” yet?

Focus on you local potential. Because in most cases you'll find people with passion at home. If these ideas require some professional support, then just use the help from the outside, which can be very effective, for example, in obtaining financial support to implement ideas. But I think that in every village, in every small town there is someone anointed by god who carries a mission to accomplish, but you just have to find this person.

In my life and hobby I had to deal with many allies here in Gniew. Both the local authorities and the local community, which was indeed very much involved by participating in public works. This meant that our residents feel that it is a piece of their heritage. But I think that every village has its own characteristics and you may find your own way of building something worthwhile and lasting.

And what is the relationship between the castle and the surrounding area? Does it translate to something? Low unemployment or very active and creative people?

You need to look at it from a certain perspective. The tourism industry is currently the third industry in the world. We, of course have some important industry in Gniew. We have a Rolls Royce factory, we do not produce cars, but cutting edge marine, shipbuilding technology.

But we also have this advantage, we are talking about today, our history, we have incredible nature. Gniew over the years turned away from the river. Anyway, the whole country turned away from the Vistula. We therefore have a beautiful and wild river, which is also an advantage. However, the tourism industry's perspective is very rational. There is an indicator showing that each job in the tourist industry, for example, in hotels, or catering – generates ten further jobs. So, history, nature, human capital.

Is it important to you that Gniew is on the Vistula?

The importance of the position of Gniew can again be seen form a historical perspective. Gniew's economic power was connected with the Vistula. Of course, this wass an activity introduced by the Teutonic Knights, and the Knights were able to take advantage of the existence of the river. Gniew was at the peak of their economic power in the seventeenth century. At that time, Gdańsk was also at the peak of its power, which was associated with the Vistula as the trade route. Granaries, two ports, which handled all the infrastructure here. The wealth of the local inhabitants was incredible. Archaeological research in the church confirmed that the Gniew inhabitants in the seventeenth century were healthier, taller, better dressed. Even richer in their graves.

> >

It also changed last year, when the owners of the castle decided to clean the Wierzyca river, start the first marina and introduce regular, to a limited extent, inland tourism based on the gondolas, the catamarans, based on the possibility of mooring of small vessels.

The case is so obvious to me that whenever I have to deal with guests, I take them to the river. First, because the panorama is wonderful and unappreciated. Only those who sail the Vistula can see it. And the other thing – in fact Vistula is wonderful due to its wilderness. For this, of course, it is the living space for the animals, habitats of birds, floral, and bird sanctuaries.

What is your new dream, what would you want to change now?

If my dream was to refer only to the present, I would like to rest. Because the effort that you put into the organization of these projects is enormous. But of course the rest is a matter of a few days.

However, my dream is to bring back to consciousness of local citizens the fact that they are co-authors of the economic power of the town. Somewhere as a result of the great success that has been created here by them, they also fall into a sort of coma. They do not see that you can not only expect investment from private investors, but you have to turn active in the creation of the image of the tourist and historic city. Of course, you probably could say again that it is our fault. And probably to some extent this is true. Therefore, I wish to restore the spirit of the original commitment of the people through effective education, especially of young people. Perhaps the older generation has been lost. But I think youth may fulfill that dream.

What's next?

I do not know. Perhaps reconstructing space flights from the 1960's...

How long have you been here on this island, in this space?

It was 1995, I found myself in this granary – I rented it from the state for a token sum. At that time, no one wanted such a site full of rats. I had one floor, and finally the whole building for two years. By 1997, I had to leave because of a policy of getting rid of all the actors from the site, after the acquisition of land from the state treasury. So I was able to lurk here. I work with the Baltic Sailors Society. This space is... what is, it's great for artistic and exhibition purposes. 17 years in this place.

The Island used to look quite different. Before the war – you know – with all the granaries. My grandfather, who was captain of the inland waterways and traveled to Gdansk, brought my dad here, who eventually became a scientist and settled in Gdansk, and he still remembers this symbolic figure, cited in "The Tin Drum" – a certain Oscar, whose voice could brake glass. After the war, it functioned like that for a while. Now as you can see nature took over. The Island has its own characteristics and is actually a dried-mud sandbank. This creates a challenge for potential investors, of course.

Maybe that's actually good that it is such a challenge for developers?

I mean, I feel a bit guilty about it, but I am glad because of the crisis investment. I'm like some wild animal here. I sit among other wild animals.

So, will you show us around?

Sure, it's not a huge area. Lets start from here. Here's the entrance, turn here to the studio. A very nice room here. Part of it is an authentic seventeenth-century wall. It is thick, the wall is more than a meter thick. Once there was a granary here, then it was just a fenced area in which different materials were stored.

And you're here all year round?

Yes, basically, yes.

And, well, here look at the opposite room. It's quite damp. In general, the entire Lower Town has this problem. This summer was humid and wet, it is a tragedy for many people.

Now look at the glass roof, just as in Zachęta gallery.

Oh, really.

Everyone is raving about it. Please go ahead... > >

I've heard that an UFO landed here.

Probably not once, probably before I showed up here. This island is marked by the footsteps of aliens. Our next show is held in the evening, so it will look quite different.

When is it?

This Saturday, at night.

Yes, it would be a little more mysterious. Points of light in general define this exhibition. Here another small room, but please do not step in, it's wet in there. With some works it all goes very well, with other ones... I do not know. And here, this space will also be used for photography. This is falling apart, I would rather not guide you in here. We will show photographs of Leszek Krutulski. This cycle, consists in fact of photos of one half of the face. After ten years he makes the second half, if these people live up to that time.

Well, I'm glad that it's not raining.

Could you say a few words about yourself, who you are?

Well, I'm a vagabond. For several years working on the Granary Island, just as it happened. In fact, a comparison to the forest animals would be most appropriate. I started a foundation in 1992. It is 20 years of the foundation now. One of the first ones created in free Poland. This place is called the Gallery Spiż 7. What will be next, nobody knows. These are mysterious things. Everything.

What is most important to you?

Food, you need to eat every day, otherwise you have no power to operate.

You don't seem to be eating very much.

Because I just burn a lot of calories, that's my problem. During each exhibition there are dozens of kilometers to walk. Volunteers come, but usually when everything is ready.

What is important... it is important to work, to keep on going. So this is a challenge, and we use objects that can be used until something starts to happen there. I hope some unwise decisions won't accelerate this process, but you never know.

Do you like Gdańsk? >>

I'm not thinking about it in principle, but because the question comes from time to time, well, I say – Yes.

But what do you like?

It is probably due to the fact that I am born in Gdansk, so I fused with it simply. You have no choice. You can complain about certain circumstances, or praise them, depending on the situation.

For me, however, it is the most practical situation that I have a studio that brings together music projects, exhibitions, etc., and it has made sense to me, because I don't have to waste time and energy. So the focus is the practical advantage and I really appreciate it, as long as it actually exists.

Does this place have a mission, some kind of philosophy?

The project "Beyond Postmodernism", began here, although it was born in my head, but the first large-scale project took place here in 2000, the exhibition "Beyond Body, Beyond Mind", and since then I realize it here. However, it actually grew up here just in the philosophy of a certain nothingness, of suspension, of some uncertainty in the trash culture, civilization, where the destructive forces of fate are so emphasized – it defines a philosophy.

And if you had to decide about the future of the Island, what would you do?

I fortunately do not have to decide about the future of the Island. Undoubtedly, this is so that such decisions are not made in a vacuum. It is the fabric of the city. This is an area which is subject to a broader philosophy, a broader investment philosophy, as we know, the broader social philosophy and so on. Postulating this destruction to be maintained indefinitely, would be absurd, wouldn't it? It's not quite up to me, because I do not even know all the circumstances that influence the development of this place in the future. General directions are known. Something will be built... From the point of view of cultural strategy one has to look at it differently, and I am aware of the complexity of this topic. On the other hand, who knows what would be more inspiring in my life, continuation or this forced change. This is all about cosmic tides, let's call it that way. You can only take what the flow brings.

What were your intentions and what came out?

I usually have quite concrete plans, but life goes its own way, it all becomes some kind of a study. I wanted to trace the communication between the creator and the recipient. In normal terms, the artist creates some message and then the public has access to the value the artist sends. And in my project “Can I help you?” I wanted to open directly to the needs of the society. We arrived somewhere and I would get off the boat, I did not know anyone there and I distributed leaflets offering my skills and telling who I am and what my assumptions are.

But did you expect you will be actually working in your profession or rather that you will do some cleaning etc?

Anything was OK for me... I could rake dung and paint a picture, or paint a wall in the school building, as it actually happened in Bratwin, where the Kociewie tradition is being resurrected. It turned out that I painted the school in local folklore patterns. I wouldn't come up with this idea on my own.

There was all sort of help, yet for me, the model situation took place in Nowe, where I did not expect anything spectacular apart from human interaction. There I met a couple, I knocked on their door. At the beginning it was kind of “well, how can you help me?” And suddenly I saw a pile of wood: “I can chop it and please read my leaflet, in the meantime, maybe you will come up with an idea”. Suddenly they come to me and say: “we did not know that you really are an artist, that you really studied painting... because we always wanted to have a picture of our house against the panorama of the town”. And I immediately got involved, even though they believed that there is not enough time, but because I wanted to work in various fields, I took it as a challenge. Although there was no artistic store, I went straight to buy the canvas in one of those cheap stores; a canvas with a photo of Marilyn Monroe, I repainted the picture, I fixed the canvas and painted – a little sketchy... but the couple was happy with it, they have a picture, we have contact, I chopped the wood and they want me to visit them again. Also some kids arrived and started painting with me...

In Chełmno I wanted to help with the renovation of the market square, but only workers who are employed, trained in health and safety could do it, because if a tractor hits you, we all have problems, so in the end, I helped one lady put coal in her basement. I also met Maciek, who runs a skate-shop. I helped him a little bit with promotion, and then, as I have some legacy of the teenage years of graffiti, and he also painted, so we made a little graffiti. In a way, just by talking to someone, through contact, support – you can inspire such a person. He runs a skate shop and we thought it could become a kind of a daycare center for the children in Chełmno, and there are quite a lot of kids in the streets. The City invests in Valentine's Day, the City of Love, but perhaps the people who can support > >

the street children are more valuable. I helped Maciek distribute the leaflets, I tried to explain to the kids that they do not need to buy an expensive T-shirt, but just can come along and talk, so that a certain environment is created and Maciek can convey some values to them. These values, associated with graffiti etc., continue in smaller towns and many of my friends associated with graffiti now design interesting things or do workshops with the kids...

Did you get the feeling that without you, something would not have happened, or that something is going to happen even after your departure?

Mrs. Agata wanted to paint this wall in Bratwin, but there was nobody who could do it, sooner or later someone would emerge, but I was the catalyst that came in from outside and immediately wanted to help. I really wanted my help to be direct, specific and measurable, made here and now. So I do see myself as a catalyst, or the person to talk to because everyone everywhere needs support from another person saying "yeah, great idea, keep going".

In this field of involved art there is a lot of issues. Each artist operating in this field is precisely faced with those concerns – what makes art effective, what will work. This is a type of test and the test may help improve future projects. Maybe at some point I will go towards strict education, in which there is the potential to try to pull the kids out of the street... In these small towns whenever you walk, you see the same kids sitting on the same stone wall.

If we are talking about Warsaw, there are some institutions that work sometimes only with people who are already open to culture, come to the shows, trying to grow in culture, test their perception, that are open to new cultures etc., but do not approach these kids that really would need alternative activities.

Are you wondering, for example, to what extent what you do is a sort of a joke, and to what extent you as an artist can really help someone, in the sense that your skills can actually make a change?

In my own way I have problems with art, where does it produces the good? What kind of value?

We have come to such a fundamental question – whether art must be moral...

Morality is a word that many people are now afraid of because if something is moral, that is to say that something is immoral, that there is something good in a given situation, and something is wrong, and as you know – it's believed to be relative... According to the spiritual idea of Kandinsky, art is elitist, at the top, and we have such a need to bring it to lower levels and over the last hundred years, we are struggling to get it all the way down to the public. Artistic education
> >

of all this is the best thing, because it shows the kids an alternative, you can show them another way out of their situation than just some petty theft. They have nothing to do. The greatest value here is in the development, in testing yourself, just as in sports.

In general, my conclusion from this trip is very simple. You talk to people, and some say “our town is great,” and then you meet others and they say “this town sucks.” Then, as you keep looking at them, you see that the former are people who are trying to do something, and the latter probably would be unhappy anywhere, because nobody has infected them with that need.

I think the value of this project is that such a network is created, a support group... I would never travel up to a village near Grudziądz and would never know there is such a cool director in that school, who has an interesting idea and is actually quite alone with it. We can help her, but also she gives us a lot, some hope, some opportunity to do something together in the future.

As I walked in, you know — I wanted to help, but when I left it turned out that people kept calling me that there is still this or that to be done... but there are people on spot, and they can actually continue to do so, for example, the school can continue to paint, you can teach someone to do templates, because it's not a difficult metal cutting technology. You just have to wake up some creativity.





